

Wojciech Majkowski



Łąki moje

Redakcja i korekta merytoryczna:

Aleksandra Majkowska, Wojciech Majkowski

Redaktor techniczny:

Wojciech Majkowski

Ilustracja na stronie tytułowej:

Trzmiel na nadnarwiańskiej łące, autor zdjęcia: Maciej Majkowski, Kruszewo-Kraków, 2014 r., za zgodą autora

Projekt okładek oraz strony tytułowej: Wojciech Majkowski

ISBN: 978-83-949107-8-5

Wojciech Majkowski

ul. Marcina Kromera 6/61, 85-790 Bydgoszcz

Wydanie I

Bydgoszcz, 2018.

Copyright © by Wydawnictwo Miliona Ha, 2018.

Ten utwór jest dostępny na poprzez dostęp do strony internetowej zawierającej utwory autora, na [licencji Creative Commons Uznanie autorstwa-Użycie niekomercyjne-Na tych samych warunkach 4.0 Międzynarodowe](#). CC BY NC SA



W celu ilustracji zbioru wierszy wykorzystano zdjęcia własne oraz zdjęcia, które zostały udostępnione publicznie w Internecie na warunkach dozwolonego użytku publicznego na podstawie Creative Commons Attribution 3.0 Unported, oraz licencji z nimi zgodnych, w tym udostępnione na stronie <https://pixabay.com/>. W treści wykorzystano także kilka zdjęć z prywatnych zbiorów innych autorów. Niniejszym składam serdeczne podziękowanie Marii Duszcze (Maria Duszka), za ich udostępnienie. Pozostałe zdjęcia, to zdjęcia własne brata autora, Macieja Majkowskiego z Krakowa.

Druk i skład:

Wojciech Majkowski

Nakład: Nie określono.

Bydgoszcz, 2018.

Łąki moje

Spis treści

Łąki nad Narwią	7
Narew czerwcową	9
Łąka pierwsza.....	10
Nad Narwią	11
Babki dwie.....	12
Droga.....	13
Pokos	14
Grabie	15
Wóz drabiniasty.....	16
Łąka druga.....	17
Pokos drugi.....	18
Narew	19
Łąka trzecia	20
Na sianokosy	21
Pokos trzeci	22
Roszenie lnu	23
Starorzecze	24
Jesienna łąka.....	25
Szron bieleje.....	26
A mnie się marzy.....	27
Lutowy lód	28
Uspiona łąka	29
Pieśń ptaków	30
Krzew gorejący	31

Nić Ariadny	33
Rower	35
Rower	37
Ganek Zofii	56
Ganek Zofii	58
Łąki nad Nerem	60
Leokadia	62
Zapach tataraku	63
Ner pierwszy	64
Próg pierwszy	65
Bagnisko	66
Łąka pachnąca	67
Ławka	68
Jadzia	69
Letnia kuchnia	70
Próg drugi	71
Ner drugi	72
Próg trzeci	73
Ner trzeci	74
Kalosze	75
Chleb z margaryną	76
Komar	77
Ner czwarty	78
Łąka odrodzenia	79
Próg czwarty	80
Łąka przypomnień	81
Łąki nad Nerem	82

Przeciwnie ścieżki	83
Przedwczesna zima	84
Łąka gorąca	85
Łąka zapomnienia	86
Łąki nieurodzajne	88
Łąki poetów	90
Bruk goworowski	91
Stawy Jana.....	92
Łąki z betonu.....	93
Asfaltowe łąki	94
Wypalanie traw	95
Siewcy	96
Łąki Pańskie	98
Łąka kwietna	100
Łąka nadobna	101
Łąka na skłonie.....	102
Łąki zapisanie.....	103
Szmaragdowe trawy	104
Trawy nieprzebyte.....	105
Raniąc stopy	106
Skraj łąki	107
Łąki zbiegłe	108
Łąki wysokie	109
Łąka o wschodzie	110
Łąka na końcu świata	111
O autorze:	113

Łąki nad Narwią



Zdjęcie ilustracyjne na poprzedniej stronie:

Na nadnarwiańskiej łące, autor zdjęcia: Maciej Majkowski, Kruszewo-Kraków, 2014 r., za zgodą autora.

Narew czerwcową

Gdzieś jest źródło tej narwiańskiej wody.
Gdzieś się przecież to wszystko zaczyna.
Może tam, gdzie wciąż każdy z nas młody.
Tam gdzie lato niestraszne, ni zima.

W chacie z drewna, pod dachem blaszanym,
ktoś na ganku wciąż siedzi na schodach.
Kwitną malwy. Ktoś jedzie majdanem,
i kurz z drogi osiada na nogach.

Na podwórku dzieciaków gromada.
Zofia kury złotym zbożem karmi.
Czerwiec. Upał. Od dawna nie pada.
Woda mami i kusi. Do Narwi!

Więc przez las, drogą prostą, na skrót.
Potem biegiem ze skarpy, jak strzelił.
I już koniec upalnej pokuty.
I za chwilę już wszyscy w kąpiel.

Narew cicha, z pozoru łagodna,
już dotknięta czerwcowym upałem.
Może jednak jeszcze zbyt chłodna?
Lecz nie dla mnie, właśnie tego chciałem!

Dzisiaj w wodzie ledwie stopy moczę.
Siostry siedzą ostrożnie na brzegu.
Jedna drugiej zaplata warkocze.
Równie długie, lecz w kolorze śniegu.

Narew płynie, jak płynęła wtedy.
Siostry w świetle lub u Pana Boga.
Tyle tylko mej zostało schedy.
I do Narwi już nie wiedzie droga.

Łąka pierwsza

Mamie, Alinie Majkowskiej z d. Różyckiej (1939-2003)

Pasikonik skacze.

Na wysokość rozchwianego
źdźbła trawy kryjącego
bańkę świeżo udojonego mleka
Wystaję ponad.

Łąka zniewala.

Świeżo skoszony pokos
oddaje słońcu całą wilgoć
porannej rosy i wczorajszego deszczu.
Biegam po.

Rzeka płynie.

Leniwe wodne wiry
kręcą się i wciągają wodę
jakby same chciały się sobą napić.
Patrzę na.

Olszyna szumi.

Delikatne tchnienia wiatru
poruszają olszynowe liście
ocieniające znajomą kobietę z dzieckiem.
Zasypiam pod.

Nad Narwią

Zofii Majkowskiej z d. Dobek (1911-1998)

Miarowy stuk kijanki.
Woda na boki pryska.
W Narwi się chłodzą kanki.
Na łące kosa błyska.

Płótno bieleje w ręku,
pod każdym uderzeniem,
lecz nikt nie słyszy jęku
matki, która z Betlejem.

To płótno nie pamięta.
Nie nosi śladu twarzy.
A nam, jedynie w święta
przypomnieć się przydarzy.

Nad Narwią wodą płyną
ciemniowych koron wianki.
I cichnie już powoli
miarowy stuk kijanki.

Babki dwie

Zofii Majkowskiej z d. Dobek (1911-1998)

Stanisławowi Majkowskiemu (1906-1994)

Stuk puk, stuk puk, stuk puk, stuk puk.

Sękata ręka młotkiem gra.

I znów, i znów, i znów, i znów.

Miarowe uderzenia dwa.

Babka przygląda z sieni się.

Do torby kawa, jakiś chleb.

Na sianokosy drugi dzień.

Koń niecierpliwie skłania łeb.

Stuk puk, stuk puk, stuk puk, stuk puk.

Sękata ręka młotkiem gra.

I znów, i znów, i znów, i znów.

Miarowe uderzenia dwa.

Na babce, w tak uderzeń dwóch,

kosa się mieni w błyskach stu.

Dźwięk gna do lasu niczym duch

i echo odpowiada mu.

Stuk puk, stuk puk, stuk puk, stuk puk.

Sękata ręka młotkiem gra.

I znów, i znów, i znów, i znów.

Miarowe uderzenia dwa.

Droga

Stanisławowi Majkowskiemu (1906-1994)

Jedziemy.

Koń chrapami parska.
Kurz się podnosi spod jego kopyt
tłumiąc w sobie ciężkie stąpania.
Pięta trzydzieści.

Wóz skrzypi i jęczy
kiedy puste drabiny ocierają się
o luźne kłonicie wsunięte byle jak.
Stopami kreślę po piachu.

Grabie i widły podskakują.
Trzepią o deski dennicy i tylko patrzeć
jak uciekną od tej roboty, co je czeka.
Czeka niecierpliwe.

Ponad głowami szumi.
Las się pochyla sosnowymi ramionami
jakby chciał te muchy odpędzić,
co za nami, od samego domu ciągną.

Bańka głucho dzwoni.
Pełna gorącej, świeżej kawy zbożowej,
gotowa na chłód Narwi, co ją przyjmie,
a potem odda nam, spragnionym.

Jedziemy grabić siano.

Pokos

Stanisławowi Majkowskiemu (1906-1994)

Pokos się kładzie, zielenią krwawi.
Kwiaty nieliczne więdną już w oczach.
Żuki i chrząszcze, któż was wybawi?
Kto was uchroni? Pan na obłokach?

Trawa oddała już siły wszystkie
i padła zżęta ostrzem od kosy.
Już w niej nie będą skrzyć się i błyszczyć
srebrzyste krople porannej rosy.

Już z niej uchodzi życie, hen w chmury.
Już jej zieloność blednie, zanika.
Pokos się kładzie, pierwszy i wtóry.
Kosiarz zmęczony jedynie wzdycha.

I chwali Pana za dzień nieznojny.
Że upał mniejszy, taki akurat.
Od Narwi ciągnie zapach upojny
od tataraku i ginie w chmurach.

Pod wieczór pokos ostatni pada.
Kosiarz obmywa spocone skronie.
Pod olchą starą sobie przysiada
i chleb już bierze w strudzone dłonie.

Sięgam po kawę, co z domu wzięta.
Nalewam słuszny kubek, do pełna.
Czas nam do domu. Idę zaprzęgać.
Ruszamy zwawo. Noc już, niespełna.

Grabie

Stanisławowi Majkowskiemu (1906-1994)

Poszedł do lasu, bo wiedział po co.
Wyszukał pośród gęstwy zielonej
krzak jałowcowy, co swoją mocą
wyrósł do góry, prosty, nie chromy.

Mocą żelazny, sokami giętki.
Długi jak trzeba, nie pokręcony.
A kiedy tylko wziął go do ręki,
wiedział już dobrze, znał z każdej strony.

Będą zeń grabie, lekkie, nie marne.
Na końcu rozszczep zrobi jak trzeba.
Doda poprzeczkę, w niej zęby twarde
z osikowego nabije drzewa.

Całe stylisko dobrze wygładzi,
by posuw w rękę właściwy miały,
by lżej mu było to siano grabić
przewracać, zgarniać, układać w wały.

I kłaść na kopy siwo-zielone,
by jeszcze doszło, by odpoczęło.
Grabie gotowe, dobrze zrobione.
Na sianokosy. Cud – rękodzieło.

Wóz drabiniasty

Znów wyruszamy. Droga się dłuży.
Natrętne muchy koń precz odgania.
Tłucze o dyszle, z odgłosem głuchym
drewniany orczyk. Świt las odsłania.

Wóz jakby zaraz miał się rozlecieć.
Skrzypi i jęczy przy byle skręcie.
Kłonicie jakby nie chciały siedzieć
na swoim miejscu. Brzęczy zapięcie.

Drabiny dobrze pozapinane.
Nie ma obaw, nic ich nie wyrwie.
Deski dennicy gną się na zmianę,
pod obciążeniem. Goreją czerwie.

Czas siano zabrać. Zwieźć do stodoły.
Wypchać po brzegi wóz drabiniasty.
W powrotną drogę, na te wądoły
docisnąć drągiem. Zaskrzypią piasty.

A kiedy wreszcie, z kursem ostatnim,
wrota stodoły łąkę pochłoną,
zapach od Narwi się uwydatni
przynosząc wieczór. Chmury zapłoną.

Łąka druga

Pójdiesz przed siebie, piaszczystą drogą.
Potem na sagę, do trzeciej linii.
Na koniec w lewo, niesuchą nogą,
przejdiesz przez brody i już po chwili
zobaczysz jedną, wielką topolę,
a obok szałas, małe ognisko
i nas, co żeśmy jeszcze nie w szkole
tylko na łące. Czy wiesz już wszystko?

To na tej łące, nad Narwią ciemną,
gdzie się tatarak przegląda w wodzie,
tak, jak co roku, znów jesteś ze mną.
I tak jak wtedy, w cienistym chłodzie,
leżymy sobie, gapiąc się w gwiazdy,
a księżyc świeci pełnią jak talerz.
Jeszcze nie wiemy, że dzień, jak każdy,
będzie tym ważnym. Jak Cię odnaleźć?

Ta łąka, druga, na skraju lasu,
wciśnięta między Narew i sosny,
śni mi się czasem, śni niczym zasób
zapachów lata, kolorów wiosny.
Niewyczerpalnych marzeń o domu,
który za lasem czekał cierpliwie,
aż powrócimy doń, po kryjomu,
z trawą we włosach. Kiedy, właściwie?

Pokos drugi

Stanisławowi Majkowskiemu (1906-1994)

„Do Chełst, przez lasy, droga długa.
Trzeba wyjechać wcześniej rano.”
Wyganiaasz wszystkich, nawet rugasz.
Na sianokosy. Wciąż tak samo.

Już nawet konie znają drogę.
Idą posłusznie, luźne lejce.
Nie wiesz, że już Ci nie pomogę.
I nikt z nas nie wie. Nigdy więcej.

Na brzegu łąki, olchy stare.
Aż dziw, jak czarne mają grzywy.
A Tobie lat przybyło parę.
I szron na głowie. Całkiem siwyś.

Zapamiętuję. W sobie chowam.
Ten widok Narwi, łąki, Ciebie.
Kiedyś go w wierszach swych zachowam,
choć jeszcze nie wiem. Ty też nie wiesz.

Lecz pokos drugi, nieuchronny,
przyjdzie tu cicho, nocą ciemną.
I staniesz wobec. Ty, bezbronny.
I ktoś zawoła Cię: „Chodź ze mną”.

Narew

Narew, jak złotowłosa dziewczyna,
skrzy się w promieniach letniego słońca.
Nurt tej dziewczynie włosy rozwija,
tocząc swe wody, tocząc bez końca.

Woda jej warkocz splata, rozplata
i loki kręci w zakolach, w wirach,
a w trzcinach widać już koniec lata.
I mija wszystko to, co ma mijać.

Na brzegu, w piasku, osiadły perły.
Korale z białej, ulotnej piany.
A w nurcie wiry do dna przywarły
i w miejscu kręcą się jak pijane.

Ważka się chwieje lekko na wietrze
na pochylonej bagna łodydze.
I dzień też nie wie, czy będzie pierwszym,
czy jej ostatnim w życia fatydze?

Narew, jak czarnowłosa dziewczyna,
odbija w sobie księżycy światło.
Opar się w górę wznosić zaczyna.
Noc parna, ciepła, słońce już zaszło.

Brzęcząc, spóźnione wracają bąki
mijając w drodze sieci pajęczyn.
I tylko w trawie nadrzecznej łąki
wzmaga się brzmienie cykad i świerszczy.

Siedzę na brzegu. Ognisko płonie.
Blask się w narwiańskiej wodzie odbija.
Zawracam myślą nurt, który płynie,
w niezgodzie na to, że wszystko mija.

Łąka trzecia

Przez bród się woda Narwi snuje.
Łódka łańcuchem przywiązana
burtą wciąż stuka, lawiruje
i w nurcie drogi szuka sama.

Lipiec upalny, roje ważek.
Na wyspę tylko jedna droga.
Jeżeli tylko się odważę.
Jeżeli siłę znajdę w nogach.

Wchodzę ostrożnie. Nurt mnie ciągnie.
Liże po plecach swym jęzorem.
Lecz nie da nigdy się zapomnieć
smaku zwycięstwa nad żywiołem.

Wieczorem, gdy na łąkę wracam,
wyspę zostawiam za plecami.
W nadrzecznych łozach drogę skracam.
Słońce się kryje za drzewami.

Jeszcze na rzece kleń uderzył.
Jeszcze spóźniony bąk powrócił.
Wracam. Nie powiem. Nie uwierzy.
Na trzeciej łące wiatr pieśń nuci.

Na sianokosy

Stanisławowi Majkowskiemu (1906-1994)

Czerwcowy świt, spoza drzew, spoza drzwi,
jak złodziej patrzył z sieni czy gospodarz śpi.
Wepchnął wiatru wiew, sen z oczu nam zmył,
wygonił nas na łąki. Opar srebrem lśnił.

Wozem drogą jadę, koń parska i grzywą
much stado precz odgania. Woźnica się kiwa.
Kopyta podnoszą kurz spalonej drogi.
Na sianokosy jadę. Bocian w trawie brodzi.

Wstaje nowy dzień, my daleko w drodze.
Słów żadnych nie potrzeba. Popuszczone wodze.
Orczyk stuka w dyszle. Lejce luźno wiszą.
Stopami, co po piachu, wiersze nowe piszę.

Wozem drogą jadę, koń parska chrapami.
Przez pola, lasy, łąki. Woźnica zaspany.
Wozem drabiniastym, co skrzypi i trzeszczy,
na sianokosy jadę. Czy daleko jeszcze?

Wchodząc w lasu czerń, gdzieś na skraju wsi,
Woźnica ściągnął czapkę, uniósł siwe brwi.
Spoglądam i ja. Tam, na prawą stronę.
Pozdrawiam gestem ręki kapliczną Madonnę.

Wozem drogą jadę, koń parska, a grzywa
miarowo w lewo, w prawo. Woźnica przysypia.
Kopyta, do rytmu, stukają w trakt leśny.
Na sianokosy jadę. Na jawie czy we śnie?

Wstaje nowy dzień, a ja ciągle w drodze.
Z dnia na dzień coraz dalej. W samotności brodzę.
Chociaż sił już brak, chociaż droga stroma,
codziennie, wciąż pod górę. Oto droga moja.

Wozem już nie jadę. Na wsi tej nie bywam.
Woźnica w mej pamięci. Pamięci nie zbywa.
Tą piaszczystą drogą i tym traktem leśnym,
na sianokosy chciałbym. Chociaż ten raz jeszcze.

Na sianokosy chciałbym. Gdzie olchy szeleszczą.
Na sianokosy chciałbym. Gdzie Narew i świerszcze.
Na sianokosy chciałbym. Tam jest moje miejsce.
Na sianokosy Panie, zabierz mnie nareszcie.

Pokos trzeci

Stanisławowi Majkowskiemu (1906-1994)

To już ostatnim pokos, łąko.
Ostatniej trawy żęcie szybkie.
Kładzie się równo, popod obłok,
zielonym ścięciem Twoje życie.

Pod późnoletnim słońcem leżąc
będziesz oddawać ducha chmurom.
Ukrytym w trawie przed trzebieżą
czaplom, zaskrońcom, lisom, nurom.

Wszemu stworzeniu, co na łące
w gościnnej trawie buszowało.
I kryło w trawie się przed słońcem.
Padł pokos trzeci. Już się stało.

Kosiarz odłożył na bok kosę.
I jemu ta robota cięży.
Wszak tak niewiele jeszcze wiosen,
a przeszło tyle. Chciałby zdążyć.

Wracamy. Droga pnie się lekko.
Kosa zatknięta za kłonicę.
Koń idzie stępa, wieczór, ciepło.
Niebieską widać już kaplicę.

Koń sam przystaje, wie najlepiej.
Woźnica ściąga czapkę z głowy
i Zdrowaś Mario cicho klepie.
Za pokos trzeci, co gotowy.

Za to, że zdążył, że dał radę.
Że teraz może już odpocząć.
I jeszcze nie wie, że tym razem
ktoś go wysłuchał. „Pójdiesz spocząć.”

I nie doczekał już do wiosny.
Łąka zarosła bezpowrotnie.
Tylko w olszynie szept żałosny
liśćmi wspomina go stukrotnie.

Roszenie lnu

Wóz się ugina pod ciężarem słomy.
Len już zebrany lecz nie czas na wolne.
Koń ledwie ciągnie, a od rzeki strony
chłodem już niesie przez zagony polne.

Czas len rozścielać, czas mu na roszenie.
Niech zmięknie trochę, na tej łące, w wodzie.
Niech nam zmarnieje na swe odrodzenie,
kiedy się zjawia w swej srebrnej urodzie.

Zanim nas chwyci jesienna robota,
len niech się rosi na tej łące mokrej.
Niech schnie i moknie, a kiedy pogoda,
niechaj go słońce przypali, a dobrze.

Łąko narwiańska, przyjmij len na siebie.
Niech się wyleży, wypocznie, skruszeje.
Niech się wysrebrzy chmurami, co w niebie.
Niech mgła go tuli, a wiatr niech owieje.

A kiedy przyjdzie pora, by go zabrać,
wrócimy tutaj, kończąc czas rozstania.
Oddasz nam wtedy, za zwykłe „Bóg zapłać.”,
ten len skruszały, gotów do klepania.

Paździeże z niego wytrzepiemy szare.
Srebrzyste włosy mocno wymiędlimy.
Będziemy czesać, aż złoży ofiarę.
Choćby nam zeszło, aż do samej zimy.

Starorzecze

Ważka, na wiatr nie bacząc,
na chwiejnej siadła łodydze.
A dzień, co chciałby się zacząć
za lasem ciągle, lecz widzę...
Czerń się na granat zmienia,
aż w końcu bieleje całkiem,
a słońce, od niechcienia,
wytacza się złotym jabłkiem.

Na starorzeczu bryza.
Woda się lekko marszczy,
a brzeg ja trzyma w ryzach,
więc się poddaje, nie walczy.
Pochylam kij nad wodą.
Zarzucam dalej od brzegu.
A myśli znów mnie wiodą
do wody, która w biegu.

Spoglądam w tamtą stronę,
ku Narwi, co wody toczy,
przez łąki ukwiecone.
Przez chwilę wilgną oczy.
Tam na brzegu wysokim,
na nocnej, letniej wyprawie
sum pierwszy, w dole głębokim.
A dzisiaj? O kiju, prawie.

Całkiem inaczej dzisiaj.
Zmienia się Narew i łąka.
Czekam, żebyś się przysiadł.
Byś się już dłużej nie błakał.
Na tej łące jest miejsce
dla Ciebie, dla mnie. Dla wszystkich.
I nie potrzeba więcej.
Rybak sieć ciągnie. Najwyższy.

Jesienna łąka

Mgła się jęzorem wysnuła z lasu.
Znad wrzosowiska i bagna płynie.
Zmierza nad rzekę, jak całun czasu,
który odetnie przeszłość, zawinie.

Wracam na łąkę jesienią wczesną.
Trawa powoli jakby płowieje.
Narew się wije wstęgą niebieską.
W jej wodzie spławiam smutek, nadzieję.

Jeszcze nie pora, jeszcze tu wrócę.
Nie ma co płakać. Woda wciąż płynie.
Może zostało już mniej i krócej,
ale zostało. Liść drży w olszynie.

Zaledwie powiew mgłę precz odgonił.
Słońce się w Narwi odbija ostre.
Jesienne barwy na Twojej skroni.
Wryte w twarzy ścieżki nieproste.

Jedynie droga, pod górę, lasem,
ciągle jak strzelił prosta, piaszczysta.
Jesienna łąko, czas nam. Tymczasem.
Wiosną urządzisz piękniejszą z wystaw.

Szron bieleje

Zaszedłem z rana, łąka chrzęści.
Przedzieram się do zagajnika.
Mróz lekko kłuje, prawie pieści,
a jednak wskroś i tak przenika.

Rozlały wszędzie się mokradła,
zimową stając się ostoją.
Zamarzły całkiem, jak zwierciadła.
Wody nie płyną już, lecz stoją.

Na resztkach trawy szron bieleje.
To skrzy się w słońcu, to znów gaśnie.
Zaraz zimową szatę wdzieje,
lecz nie na zawsze łąka zaśnie.

Bo choć zmęczona letnim skwarem,
jesienną słotą wychłostana,
wstanie zbudzona wiosny darem,
kwiatami pięknie obsypana.

Dzisiaj do snu już tuli głowę.
Szron wszak bieleje na jej włosach.
Niech śpi i śni, a życie nowe
zacznie się kiedy pierwsza rosa.

A mnie się marzy

A mnie się marzy droga polna,
na której pył stopami wzniesam.
I nadnarwiańska łąka zdolna
mnie uśpić, kiedy się okwieca.

I trawa, taka po kolana.
I świat z mych marzeń i pamięci.
Gdzie każda ścieżka dobrze znana,
a kamień, to nie obraz pięści.

Gdzie mogę iść, do lasu choćby.
Gdzie nikt nie woła za mną słowem,
które uderza, niesie groźby,
a ja w niesłyszność chowam głowę.

Lutowy lód

Zofii Majkowskiej (1911-1998)

Naciągnąłem kołdrę ze wspomnień.
Naciągnąłem po same uszy.
Nie chcę tego dźwięku zapomnieć,
jak na Narwi woda lód kruszy.

Więc zanurzam się we wspomnienia,
w których jeszcze jesteśmy razem
i tak trwamy, i nic się nie zmienia.
Czas przystanął martwym obrazem.

Na narwiańskich łachach śródrzecznych,
pod naporem przedwiosennych wód,
pęka z hukiem, w posadach trzeszczy,
w dal odpływa już lutowy lód.

Kra na krę mozolnie napiera.
Na płycznach w stosach osiada
i w lodowy pancerz ubiera
wyspę. Ta się chwieje w posadach.

Leżę sobie z kołdrą na głowie.
W piecu ogień zimę oddalił,
lecz nie pada żadna odpowiedź,
kto w tym piecu rano napalił.

Darmo czekam też odpowiedzi:
Kto po nocach przychodzi we śnie?
Kto przy piecu wytrwale siedzi?
Widać na odpowiedź za wcześnie.

Na narwiańskich łakach nadrzecznych,
gdzieś na krańcu mych życiowych dróg,
raz kolejny i nie po raz pierwszy,
na mej Narwi pęka kruchy lód.

Uśpiona łąka

Ojcu, Jerzemu Majkowskiemu (1936-2013)

Mróz, śniegu chyba po kolana.
Na drodze gruda i wyboje.
Sanie gotowe już od rana,
na saniach ja i Ty. We dwoje.

Przez las już droga całkiem dobra.
Na sosnach czapy, śnieg nietknięty.
Na brzozie stare ślady bobra.
Koń głośno parska. Ja zapięty.

Ty zaś w kozuchu, rozchełstany.
Na twarzy uśmiech i rumieniec.
Czas po chojaka. Już wybrany.
Już czeka w lesie. Na ocknienie.

Zetnie go ręka silna, sprawna.
Ze snu go zimowego zbudzi.
Będzie choinka, tak jak z dawna.
Na Narodzenie strój narzuci.

Jedynie łąka wciąż uśpiona.
Pod grubą kołdrą śpi spokojnie.
I nie wie nawet, że to ona
obdarzy stół nadzwyczaj hojnie.

Spocznie swym darem pod obrusem.
Sianem pachnącym przeszłym latem.
I będzie świadkiem naszych wzruszeń.
Choć śpiąca, z nami będzie, zatem.

Pieśń ptaków

Kruszewiakom

Pieśń ptaków z wolna cichnie w polu.
Odchodzi hen, za ścianę lasu.
I ja też żegnam was powoli.
Codziennie, wraz z upływem czasu.

Twarze bez twarzy, ślad postaci.
I głos, którego nie pamiętam.
I tylko strzępy z fotografii –
pamięć na kliszy raz zamknięta.

I choć powtarzam wciąż od nowa
zapamiętane zdania, frazy,
to nie pamiętam, co te słowa
znaczyły wtedy, tamtym razem.

Jedynie ptaków pieśń pamiętam
i pole, co do lasu w zbożu,
i las, i drogę, która skręca
do Narwi, pośród siana stogów.

Krzew gorejący

Stanisławowi Majkowskiemu (1906-1994)

Jedziemy, lecz inaczej dzisiaj.
Wozem dłubanką, boki pełne.
Kosa i grabie jakby ciszej.
Jakby nie były całkiem pewne.

Będzie robota dla nich, także?
I co na wozie robi nafta?
I czemu jest to takie ważne,
skoro już łąka śpi od dawna?

Woźnica pacierz klepie cicho.
Dorzuca jeszcze dwie koronki.
Jedzie wytępić tamto lichy,
co mu zarasta środek łąki.

To krzew tarniny, wielki, twardy.
Siekierą byłoby zbyt trudno.
Przyjdzie go spalić, nie ma rady.
Choć serce boli, chociaż smutno.

W południe, gdzieś na środku łąki,
krzew gorejący cicho płacze.
Płaczą na niebie dwa skowronki.
I moje serce. Nie inaczej.

Po latach, kiedy Pismo czytam,
krzew gorejący widzę nowy.
I tak jak wtedy, siebie pytam:
Czy jestem także ja gotowy?

Co będzie, kiedy przyjdzie po mnie,
Gospodarz, żeby mnie spopielić?
Czy spłonę płacząc nieprzytomnie?
Czy przyjdzie krzewu los podzielić?

Nie wiem i wiedzieć wcale nie chcę.
Niech chociaż popiół dobry będzie.
Łące, na wiosnę, go zawieźcie.
Rozsypcie cały. Sypcie wszędzie.

Jeśli zaś dane będzie wiosną,
powrócić trawą odrodzoną,
to wzejdę pierwszy, wzejdę mocno,
trawą najbardziej z traw zieloną.

Nić Ariadny

Mamie, Alinie Majkowskiej z d. Różyckiej (1939-2003)

Z pajęczyn dziecięcego lasu.
Z lnu wysrebrzonego słońcem.
Z siana wysuszonego wiatrem.
Z gniadej grzywy i końskiego ogona.
Utkałem nić pierwszą.

Z polnych dróg bezkresnych.
Z Mlecznej Drogi czerwcowego nieba.
Z wstęgi Narwi wijącej się polami.
Ze smug jaskółczych skrzydeł.
Utkałem nić drugą.

Z dymów nad kartofliskiem.
Z mgieł nad polami przysiadłych.
Z kurzu na Ostrołęckiej Drodze.
Z babiego lata wiodącego jesień.
Utkałem nić trzecią.

Z Twoich rozrzuconych siwych włosów.
Z płataniny rurek z życiem-nie życiem.
Z tysięcy słów wypowiedzianych.
Z milionów słów, które nie padły.
Utkałem osnowę nadziei.

Teraz siedzę i splatam je wszystkie
w jedną, mocną nić Ariadny.
Może ona zaprowadzi mnie
do Ciebie?

Rower



Zdjęcie ilustracyjne na poprzedniej stronie:

Zofia i Stanisław Majkowsy, monidło ślubne, 8 października 1930 r., w Goworowie., autor nieznany



Zdjęcie archiwalne nieistniejącej fabryki rowerów „Tornado” w Bydgoszczy. ok. 1920 r.
Zdjęcie z domeny publicznej, przed 1926 r., nie objęte ochroną praw autorskich. Autor zdjęcia nieznany.

Rower

Opowieść o ludziach i miejscach oraz o tym, jak pewien rower zaważył na ich losach.

Spisane 18 stycznia 2017 r., w Bydgoszczy...

Ta opowieść jest o ludziach i miejscach oraz o tym, jak pewien rower zaważył na ich losach, oraz o tym, że nigdy nie wiemy kto i dlaczego kieruje nasze kroki tak, zdawałoby się, pokrętnymi ścieżkami, a jednak wiodącymi ku poznaniu czegoś pięknego, zadziwiającego i niezwykłego. Opowieść prawdziwa. Prawie.

W 1930 r., w Kruszewie...

Zofia i Stanisław, piękni i młodzi, pobrali się 8 października 1930 roku w Goworowie, na Mazowszu i zamieszkali w rodzinnym Kruszewie, wsi odległej od Goworowa o niecałe sześć kilometrów.

Stanisław, rolnik, urodzony i wychowany w Kruszewie, na ojcowiznie, którą jego przodkowie uprawiali od wieków, od czasów, kiedy jeszcze jako drobna szlachta herbu Kościesza wywodząca się od Macieja Majki i jego przodków mieszkających w miejscowości Majki-Tykiewki, na ziemi różańskiej, mieli w swym posiadaniu kilkaset hektarów ziemi, lasów oraz młyny, wiatraki czy gorzelnię. Zofia z Dobków, córka rolnika z Kruszewa, również mogłaby wywieść swoje pochodzenie od drobnej szlachty, z tych samych ziem. Jednak kiedy się pobierali, w 1930 roku, mało kto pamiętał czasy świetności obu rodzin. Jedyne co pamiętali, to fakt, że po powstaniu listopadowym z 1831 roku, majątek ich przodków skonfiskował w całości carski Namiestnik Królestwa, Iwan Paskiewicz. Wszystko to za udział w powstaniu listopadowym Baltazara i Adama Majkowskich, synów Kacpra i Katarzyny. Cała pozostała historia rodziny zaginęła w mrokach dziejów i zakamarkach pamięci bliższej i dalszej rodziny, a rzeczywistość była taka, że jedyne co wtedy mieli, to siebie i kilka hektarów ziemi, po części z ojcowizny Stanisława, po części wniesionej we wianie przez Zofię.

W 1930 r., w Fordonie k. Bydgoszczy i samej Bydgoszczy...

W tym samym czasie, w Fordonie, polsko-niemiecko-żydowskim miasteczku koło Bydgoszczy, żyli obok siebie Polacy, Niemcy i Żydzi, choć tych ostatnich niewielu już zostało po tym, jak w 1923 r. zaczęli tłumnie opuszczać to miejsce. Sam Fordon leżał wtedy na krańcach ówczesnej Rzeczypospolitej, przy granicy z Niemcami. Mieszkało tu niewiele ponad tysiąc mieszkańców, a ich głównym zajęciem była praca w pobliskiej cegielni, porcie rzeczonym oraz handel. Przy Rynku, w trochę dziwnym miejscu jak dla tej instytucji, stał wielki budynek więzienia. Wybudowane pod koniec XVIII wieku jako magazyn, później komora celna, w 1853 roku został przekształcony w więzienie dla kobiet, filię niemieckiego zakładu karnego w Koronowie. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości więzienie przejęła Rzeczpospolita nie zmieniając jednak jego przeznaczenia. Dalej obiekt pełnił rolę zakładu karnego dla kobiet

W 1933 r., w Kruszewie...

Stanisław, choć majątku wielkiego nie miał, to jednak w 1933 roku postawił dom. Drewniany, z bali kwadratowych, obity drewnianą oblicówką i kryty blachą. Ocynkowaną. Wszystko dlatego, że dach miał być na kilkadziesiąt lat, a cynkowanie było wtedy najlepszą metodą na zabezpieczenie przed korozją. Rok wcześniej, specjalnie dla Zofii, Stanisław kupił w Warszawie, nowiuteńki rower o oryginalnej nazwie „Original Tornado”. Piękny, granatowo-biały, prosto z fabryki „Tornado” w Bydgoszczy. Rower więc był i stał sobie w szopie. Stał po to, by był na podorędziu. Zofia, bowiem, często wyruszała nim na zakupy do Goworowa, żeby specjalnie koni nie zaprzęgać. Ostatnio nie jeździła, bo była w połogu po ciężkiej ciąży i urodzeniu drugiego dziecka, Antosia.

W 1933 r., w Fordonie k. Bydgoszczy i samej Bydgoszczy...

W niezbyt odległej od Fordonu, Bydgoszczy, cztery bydgoskie fabryki rowerów i części rowerowych „Tornado”, załączek późniejszych Zakładów Rowerowych znanych jako ROMET, wyprodukowały nowy model roweru o nazwie, jakże by inaczej, „Original Tornado”. Produkcja rowerów trwała już od kilku lat, ale, że zbyt jednośladowo rozwijał się

imponując, zakłady „Tornado” otwierały kolejne montownie rowerów, w tym jedną z nich, w Fordonie koło Bydgoszczy.

W 1939 r., w Kruszewie...

We wrześniu, 1939 roku, jak wszędzie, tak i do nich przysłała wojna. Z wojną front, żołnierze, zamęt, gwałty i przemoc. Zawierucha. Front przewalił się tak samo szybko, jak przyszedł, pozostawiając za sobą zniszczone zabudowania, pustki w stodole i komorze, głód. Stanisław i Zofia nie poddali się jednak. W domu była już szóstka dzieci, Basia, Antoś, Mikołaj, Janek, Jureczek i dopiero co urodzony Józik. W polu pracy co niemiara, a choć w sercu niepokój, co będzie dalej, trwali na swoim.

W 1939 r., w Fordonie k. Bydgoszczy i w samej Bydgoszczy...

Po wydarzeniach Krwawej Niedzieli z 3 na 4 września 1939 roku, i zajęciu, w dniu 5 września, Bydgoszczy, Niemcy ze zdwojoną siłą rozpoczęli zaplanowaną akcję odwetową, mającą na celu eksterminację ludności polskiej w Bydgoszczy i okolicach. W tym celu, w więzieniu w Fordonie, które nie ucierpiało we wrześniowych niemieckich nalotach, zakwaterowano specjalne oddziały Arbeitsdienstu, przygotowujące tereny położonej nieopodal Doliny Śmierci pod egzekucje tysięcy Polaków. Zaplanowane morderstwo dokonało się. Zaraz po tym, już w styczniu 1940 r., w budynku więzienia w Fordonie utworzono niemieckie ciężkie więzienie dla kobiet. Napływające z całego kraju transporty więźniarek, po odbyciu kary w fordońskim więzieniu wywożono do obozów koncentracyjnych w Auschwitz i Ravensbruck. Do stycznia 1945 roku przewinęło się przez więzienne mury 6300 kobiet, w tym kilkadziesiąt działaczek podziemia konspiracyjnego. Więzienie fordońskie należało do najcięższych zakładów karnych dla kobiet w okręgu Rzeszy Gdańsk-Prusy Zachodnie. Osadzano w nim wyłącznie Polki i Żydówki na mocy wyroków niemieckich sądów cywilnych za przestępstwa pospolite, a zwłaszcza wszelkie przejawy działalności antyniemieckiej.

W 1942 r. i później, w Kruszewie, Goworowie, Warszawie...

Wczesnym latem 1942 roku Zofia wsiadła na „Original Tornado”, aby się udać z rąbanką do okupowanej Warszawy, przez Goworowo, a dalej przygodnym transportem do Tłuszcza, skąd koleją na warszawski Dworzec Wileński. Stąd było już tylko kilka kroków na praski bazar. Warszawa głodowała, a ludzie z okolicznych, mazowieckich wsi pomagali warszawiakom przetrwać, dostarczając im produkty, których na co dzień, na wolnym rynku, nie można było kupić. Nie była to pomoc bezinteresowna, ot zwykły handel. Jednak działalność taka była zabroniona i ścigana przez Gestapo i żandarmów. Jadąc z rąbanką do Warszawy, Zofia nie wiedziała, że złapie ją Gestapo. Nie wiedziała też Zofia, że znajdą ukryte pod ubraniem szynki i wyroby, i nie wiedziała, że za tę rąbankę, ciupasem odstawią ją przed sąd. Sąd, który nie bacząc, że Zofia jest matką, podówczas, siedmiorga dzieci w tym kilkumiesięcznej Oli, skáže ją na pięć lat więzienia z zamianą na 3 lata więzienia i ciężkich robót u niemieckiego bauera. Nie przyznała się i dostała pięć lat ciężkiego więzienia. Nie wiedziała Zofia, że kiedy jechała na rowerze „Original Tornado” wyprodukowanym w Bydgoszczy, a może i w samym Fordonie k. Bydgoszczy, zakończy swą podróż tam, gdzie ten rower swą podróż rozpoczął, nim trafił do szopy, w Kruszewie. W niemieckim, ciężkim więzieniu dla kobiet w Fordonie k. Bydgoszczy. Tak oto zamienili się miejscami, Zofia z rowerem „Original Tornado”. Ona, tu w Fordonie z wyrokiem 5 lat więzienia za działalność polityczną, choć to tylko zwykła rąbanka była.

- Szczęście od Boga, że nie wiedzieli nic o tym Żydku, co go ukrywałam w piecu chlebowym – pomyślała Zofia. Jak nic daliby wyrok śmierci na mnie i na całą rodzinę.

Tak zamyślona, wspominała ten czas, kiedy Szmul, czy jak mu tam było, jedyny Żyd z Kruszewa, wżeniony w polską rodzinę, osiadł na roli, i tylko czasami dorabiając sobie szyciem, przyszedł do nich, kiedy robili kolejną łapankę we wsi, bo ktoś doniósł, że jakiś Żyd tam mieszka. Ukryła wtedy Szmula, czy jak mu tam było, w piecu chlebowym. Chłopina był mizerny, chudy i niewysoki, to się zmieścił. Udało się. Chociaż wszystkie domy przeszukali, nikogo nie znaleźli, i sobie poszli. Z rozrzewnieniem wspominała całą tę sytuację...

Kiedy już było po wszystkim, Szmul, wylazł z pieca chlebowego i usiadł przy stole, gdzie Zofia postawiła mu talerz zupy. Ot, zwykłej kartoflanki, ale w czasie wojny, kartoflanka okraszona skwarkami to był i tak specjał nad specjały. Szmul zjadł i widać było, że był głodny, bo talerz wytarł do sucha jedyną kromką chleba, jakby specjalnie zostawiając ją sobie

na koniec. Chleb bowiem był pachnący, świeży i dopiero co, wczoraj upieczony w tym samym piecu, gdzie on dzisiaj znalazł swoje bezpieczne schronienie.

Zofia wzdrygnęła się i jeszcze bardziej żal ścisnął jej serce, kiedy uświadomiła sobie, że o chlebie może teraz tylko pomarzyć, a jedyną zupę, jaką rozdawali w więzieniu trudno było nazwać zupą. Ot, zwykły wywar z brukwi i kilku kartofli na jeden dwudziestolitrowy gar. Wróciła do wspomnień...

Kiedy Szmul już się najadł, a niebezpieczeństwo minęło, bo Niemcy wyjechali ze wsi, zaczął się zbierać do siebie. Jednak zanim wyszedł, poprosił o papier i ołówek. Kiedy dostał co chciał, westchnął tylko, popatrzył przez okno w kuchni na podwórze, gdzie Stanisław właśnie zaprzęgał, by jechać do rzeki po wodę, podrapał się po głowie i jakby przypominając sobie, co tam chciał napisać, wziął ołówek i zaczął pisać. Kiedy skończył, wręczył kartkę Zosi mówiąc:

- Ja Zosi wszystko pamiętam. Ja Zosi wszystko odpłacę. Ja tu Zosi zapisałem adres w Warszawie, co tam mój kuzyn mieszka. On jest mi winien trochę pieniędzy, ale ja jego pieniędzy nie chcę. Ja tylko mu napisałem, że jak się Zosia do niego zgłosi po pomoc, to niech pomoże, jeśli będzie mógł. A on będzie mógł. On bogaty człowiek.

- A ty co? Całkiem zgłupiałeś człowieku? Idź do domu, bo żona czeka i się martwi.

- Ona się już nie martwi. Ona już wie, że Szmul musi od niej uciekać, bo jak nie, to jej spokoju nie dadzą. Ona Polka, to nic jej nie zrobią, a Szmul? Żyd i tyle, to i wiadomo, co będzie. To i odejdę.

- A na co mi ten twój list? Nawet nie wiem, co tu jest napisane.

- Co jest napisane, to jest. Kuzyn będzie wiedział, a Zosia będzie zaopiekowana, jakby co.

- Jakby co?

- No różnie to może być. Może, da Jahwe, że jakoś wojnę przeżyjemy. Może trzeba będzie zaczynać od nowa, może jakaś pomoc będzie potrzebna? On pomoże.

- Pomoże, nie pomoże. Nie wiadomo, czy sam jeszcze żyje? – burknęła Zosia, bardziej do siebie niż do Szmula, gdyż ten, wykorzystując jej zakłopotanie, wyszedł bez pożegnania i poszedł na ukos, przez pola, prosto do domu.

Zosia schowała list od Szmula do środkowej szuflady kredensu, pod papier wyściełający dno, Wojna jakoś nie miała się ku końcowi, a i sprawy Żydów miały się jak najgorzej, bo w warszawskim getcie trwała właśnie wielka akcja wysiedleńcza i wszystkim stało się oczywiste, że Żydów wywożą na śmierć. Tylko niektórzy z Żydów nie mogli

uwierzyć, że oto taki los im zgotowano. Zosia była pewna, że osoba, do której ten list był adresowany albo już dawno uciekła z kraju, albo nie żyje. Przypadków takich, jak Szmul, który się uchował, bo mieszkał z dala od wszystkich, na zapadłej mazowieckiej wsi, albo takich, co to się ukryli gdzieś u życzliwych osób, było mało. Kilka dni po tym, jak Szmul „zaszczycił” piec chlebowy Zofii swoją osobą, zebrał się i wyjechał, nie wiadomo dokąd. Zosia przeszła nad tym do porządku dziennego, bo przecież zrobił, jak zapowiadał. Jedyne któregoś dnia, wyjęła list z szuflady, jeszcze raz na niego spojrzała i jedyne co zrozumiała, to tyle, że list był adresowany niejakiego Romana Silbersteina w Warszawie, tu padał dokładny adres. Zosia westchnęła, bo dobrze wiedziała, że adres już dawno nieaktualny, odłożyła list na miejsce i całkiem o nim zapomniała.

Tak sobie Zofia myślała o swoim losie, jadąc transportem do więzienia, gdzieś w Rzeszy. Rower „Original Tornado”, stał samotnie u znajomych ludzi przy stacji kolejowej w Goworowie, gdzie go zostawiła Zofia w swojej podróży do Warszawy. Stanisław szukał Zofii, gdzie mógł. Na stacji znalazł jedynie rower. Położył rower na wóz i wrócił do domu. Nie wiedzieli dzieci Zofii, gdzie się podziała ich matka, nie wiedział też Stanisław.

- Wojna panie! Może zginęła? – Zastanawiał się głośno, aż do czasu, kiedy z powiatu przyszło zawiadomienie o skazaniu i o tym, że Zofia w więzieniu siedzi.

Tyle, że nie napisali gdzie. Co było robić? Stanisław i dzieci czekali, a Niemcy tego samego lata poszli na Ruskich. Na pohybel. Stanisław z dziećmi musiał czekać na Zofię bardzo długo.

W 1942 r. i później, w Fordonie k. Bydgoszczy...

W roku 1942 r. Zofia siedziała w więzieniu w Fordonie. Czy miała jakiś widok z okna? Czy w ogóle ze swojego okna mogła coś zobaczyć? Pewnie nie. Ale jeżeli miała, to mogła prosto z okna patrzeć w tę stronę, na północ. Widziała pewnie wtedy lekko tylko przysłonięty przez kraty w oknach, kościół p.w. Św. Mikołaja, konsekrowany raptem osiem lat wcześniej. W tym samym czasie, w domu w Kruszewie, umarł jej trzeci syn, kilkuletni Mikołaj.

Kiedy Zofia siedziała w więzieniu w Fordonie, wszystkie więźniarki zmuszano do ciężkiej pracy. Praca trwała od 10 do 12 godzin dziennie, ale najczęściej od świtu do zmroku. Racje żywieniowe były niewystarczające, wręcz głodowe.

- Zosiu! Jak będziemy dzisiaj u bauera, trzeba znowu ukraść coś do jedzenia – powiedziała jedna z więźniarek.

- Jak będę przy pomidorach, to nazrywam – odpowiedziała Zosia

- Ja nabieram ziemniaków. Szkoda tylko, że nie pozwalają palić łątów, bo byśmy sobie upiekły – odparła tamta.

Jak zaplanowały tak zrobiły. Nabrały ile mogły ukryć pod ubraniem i szczęśliwie przemyciły do więzienia. Udało się.

- Kobiety, ucztujemy! – Zosia zwołała pozostałe kobiety z celi, częstując je zdobytymi pomidorami i surowymi ziemniakami.

Po chwili, po wielkiej uczcie nie został żaden ślad. Dopiero na drugi dzień przekonały się, że niedojrzałe pomidory i surowe ziemniaki to złe połączenie. Nie miały jednak wyboru, chciały przeżyć, nie chciały głodować. Zapłaciły za to wysoką gorączką, osłabieniem biegunką i wymiotami. I takie schorowane i słabe musiały następnego dnia ponownie iść do tej samej pracy, co wczoraj. Na litość ze strony niemieckich strażniczek nie miały co liczyć.

Zosia, choć dostała wyrok pięciu lat, nie była, tak jak inne więźniarki z takim wyrokiem zaliczana do grupy więźniarek niebezpiecznych. Może dlatego, że to był tylko wyrok za rąbankę. Te niebezpieczne, czyli skłonne do ucieczki i z wyrokiem powyżej 5 lat zatrudniano w warsztatach tkackich na terenie zakładu karnego, pozostałe pracowały poza murami więziennymi w pobliskich fabrykach, w zakładach produkujących na potrzeby wojska (np. w prochni w Łęgnowie), a w okresie letnim, w majątkach ziemskich. W Fordonie niejednokrotnie widziano je jak zamiatały ulice i place czy zgarniały śnieg z chodników i szos. Zofia nie raz zamiatała plac przed kościołem Św. Mikołaja i choć ani na chwilę do kościoła wejść nie mogła, modliła się za rodzinę, męża, dzieci i maleńką, narodzoną kilka miesięcy wcześniej Olę. Modliła się też za kilkuletniego Mikołaja, nie wiedząc, że jej Mikołaj już nie żyje. Zofia, niezwykle religijna kobieta, codziennie dziękowała Bogu, że ktoś inny niż ona trafił do kolejnego transportu do Auschwitz i Ravensbruck, bo nawet tu, do więzienia, a bardziej do ludzi, z którymi pracowała u bauera, dochodziły wieści, że z takich transportów, nikt żywy nie wychodził. Dlatego siedziała, cierpliwie czekała i modliła się o cud, o uwolnienie, o powrót do rodziny.

W 1944/45 r., w Kruszewie...

Wyzwolenie przyszło do Kruszewa, jak wszędzie, od wschodu. Pierwszy raz przyszło latem 1944 roku. Pod koniec lipca, Stanisław ukrył co się dało w gospodarstwie i okolicach, a sam z dziećmi uciekł przed wyzwolicielami do lasu, bo znał ich jak zły szeląg. Już raz, po powstaniu listopadowym „ruscy” odebrali jego rodzinie cały majątek. Ruscy przyszli od Białegostoku. Przyszli, najedli się tym co znaleźli, ukradli co było pod ręką, a miało dla nich jakąkolwiek wartość, postrzelali do Niemców na drugiej stronie Narwi i okopali się. Nie na długo.

Kilka tygodni później Niemcy odbili tereny po wschodniej stronie Narwi. Do stycznia 1945 roku Niemcy i Rosjanie, jeszcze w sumie 4 razy zamieniali się miejscami. Skutki tego przewalania się wojsk wte i wewte były dla tych okolic, mieszkańców Kruszewa, również dla Stanisława i jego rodziny, opłakane. Po ostatecznym odejściu wojsk na zachód, Stanisław został z jedną krową i ukrytym w polu kopcem podgniętych ziemniaków. Za to z sześciorgiem dzieci i bez żony, Zofii, która dalej siedziała w niemieckim więzieniu w Fordonie k. Bydgoszczy. Ukryte w lesie narzędzia i maszyny udało się odzyskać. Rower „Original Tornado” również wrócił na swoje miejsce. Do szopy, obok resztek stodoły. Stanisław nie miał pojęcia, że Zofia, tak jak ten rower z podbydgoskiego Fordonu, również powróci do Kruszewa. Zabrał się do pracy. Pole czekało na zasiew, dom i całe obejście czekało na odbudowę. Dzieci czekały na matkę...

W 1945 r., w Fordonie k. Bydgoszczy...

Zima 1944/45 była mroźna. Kiedy w styczniu 1945 roku, siedząc w więzieniu w Fordonie, usłyszała Zofia odległy huk artylerii dochodzący zza Wisły, wiedziała, że idzie wyzwolenie. Niemcy uciekali w popłochu. Do pracy do bauera ich już nie prowadzali od jesieni. Raz, że nie sezon, choć zeszłego roku chodzili o tej porze do młocki, a drugie to pewnie i bauera już nie było, bo zwał dalej w głąb Rzeszy. Wiezienia pilnowały niedobitki strażników. Wolność przyszła mostem przez Wisłę. Zimowa ofensywa wojsk radzieckich i polskich, ruszyła 12 stycznia 1945 r. 26 stycznia, ponownie w czasie tej wojny, most fordoński wysadziły w powietrze cofające się oddziały wojsk niemieckich. Już kilka dni wcześniej ludność niemiecka uciekła z Fordonu, tylko niewielu z nich pozostało w mieście.

Kiedy 27 stycznia 1945 roku na rynku w Fordonie, przy trzaskającym jak dzisiaj mrozie, cieszyli się mieszkańcy i żołnierze, Zofia w kolumnie kilkuset więźniów, szła drogą przez Strzelce na Koronowo, gnana bagnetami więziennych strażników i żołnierzy. Niemcy do końca nie wierzyli, że Rosjanie przejdą Wisłę, jednak woleli zabrać więźniów do więzienia w Koronowie. Wielu zmarło po drodze nie dochodząc do celu wędrówki. Wielu uciekło wcześniej, korzystając z zamieszania. 29 stycznia 1945 roku, mając na karku ścigających ich Rosjan, Niemcy rozpierchli się pod Koronowem pozostawiając zdziwionych więźniów samym sobie.

Zofia, jak wszyscy więźniowie, w więziennych łachmanach i w drewniakach stała na mrozie zdumiona. Pierwszą jej myślą było:

– Uciekać!

– Uciekać? Ale dokąd? Ale jak? Do domu, jak najprędzej, do dzieci, do Stanisława. Choćby i pieszo jej przyszło iść te 300 kilometrów. To pójdzie w ten mróz, w tą lutową zawieruchę.

Poszła. Z Koronowa, przez Bydgoszcz, choć już nie przez Fordon, a dalej przez Łęgnowo, w którym tyle lat ciężko harowała u bauera. Za niesprawiedliwą karę. Za miskę zupy oraz skradzione z pola pomidory i surowe ziemniaki. Szła i słabła, choć sił jej dodawała tęsknota za rodziną. Jeszcze jakimś przygodnym pociągiem towarowym przekroczyła Brdę przez jedyny ocalały most w Łęgnowie, ale gdy pociąg zatrzymał się i wysiadła, mróz i zmęczenie okazały się silniejsze. Przysiadła pod drzewem. Zasnęła. Na mrozie. Głodna i zmęczona.

...

- Halo! Pani się obudzi! Halo! – usłyszała Zofia.

- Co jest? Gdzie ja jestem!?! – zapytała i rozejrzała się dookoła. W izbie, gdzie się ocknęła, było kilka nieznanych jej osób. Było jej ciepło, wygodnie. Poczua się bezpiecznie. Przypomniała sobie. Więzienie w Fordonie. Drogę do i z Koronowa. Wszystko. Aż do momentu, kiedy wysiadła z tego pociągu. Dalej nie pamiętała już nic. Przewyciężając senność zapytała:

- To Polska?

- Polska, pani, Polska! Niemcy przedwczoraj uciekli i zostawili cały majątek. Teraz my tu mieszkamy. Odpoczywaj kobieto, odpoczywaj. Myśleliśmy, że już żeś całkiem zamarzyła na tym mrozie. Musiałaś tam leżeć ze trzy godziny.

- Gdzie ja jestem? – zapytała Zofia.

- Majątek w Langenau, właściwie to Łęgnowo, pod Bydgoszczą.

- Ja muszę wracać. Do dzieci. Do Kruszewa, do domu. – westchnęła Zofia.

- Spokojnie. Jak się wychorujesz i nabierzesz sił, to pójdziesz, gdzie cię nogi poniosą, a teraz leż. Masz, napij się gorącego mleka.

- Mleko! Boże! Nie miała go w ustach już od miesiący. Ostatnio u bauera, jak ukradkiem wydoiły krowę na polu. Wypiła łąpczywie i zmęczona opadła na łóżko. Za chwilę już spała. Zebrani domownicy cicho wynieśli się do przyległej kuchni.

...

Zofia wróciła do domu dwa miesiące po wyzwoleniu i dwa miesiące po tym, jak nieznajomi, ale życzliwi ludzie z majątku Langenau-Łęgnowo uratowali jej życie. Pod koniec marca 1945 roku, idąc głównie pieszo, trochę wozami konnymi, krótko pociągiem. Droga z Łęgnowa (Langenau) do domu, 300 kilometrów przez zniszczony i obrabowany kraj, zajęła jej równy miesiąc. Więzienie i przebyta choroba nie pozwoliły Zofii iść szybciej. Jednak, gdyby nie ci ludzie z Łęgnowa pod Bydgoszczą, Zofia nigdy by nie wróciła do swoich dzieci i do Stanisława. Syn Jurek, który miał raptem niewiele ponad 5 lat, kiedy ją zabierali, z początku nie poznał matki, jak wróciła i schował się za ojcem – Stanisławem, jakby do wioski przyszła Cyganka, co to niegrzeczne dzieci zabiera. Stanisław przyklęknął, pomodlił się i objął Zosię mocno. Najmocniej jak umiał.

13 maja 1947 r., w Kruszewie, Goworowie...

Dwa lata i dwa miesiące po tym, jak wróciła Zofia do domu, 13 maja 1947 roku, w niedzielę, wsiadła na cudem ocalony, jak ona, z pożogi wojennej rower „Original Tornado” i pojechała do kościoła w Goworowie. Sześć kilometrów tam, sześć kilometrów z powrotem. Przynęła wtedy, że za ocalenie swoje i swojej rodziny, pošle swoje najstarszego syna na księdza. I postanowienie to zrealizowała. Syn Antoni poszedł do seminarium.

.....

16 maja 1956, Kardynał Stefan Wyszyński, choć uwięziony przez komunistów od 25 września 1953 roku, przebywający w tym czasie w Komańczy, w areszcie domowym, czy jak mówiła wtedy władza, w miejscu odosobnienia, Kardynał Stefan Wyszyński napisał tekst

ślubów narodowych, które miały być odnowieniem królewskich ślubów lwowskich Jana Kazimierza w ich trzechsetną rocznicę.

8 czerwca 1958 roku, ks. prałat Antoni Majkowski, ur. 27 stycznia 1933 r. przyjął święcenia kapłańskie w parafii Podwyższenia Krzyża Świętego, w Goworowie. Zaledwie rok wcześniej, uwolniony z więzienia Kardynał Stefan Wyszyński, rozpoczął obchody Tysiąclecia Chrztu Polski, które zakończyły się w 1966 roku. Odradzał się kraj, ludzie, ich marzenia i to w co wierzyli.

.....

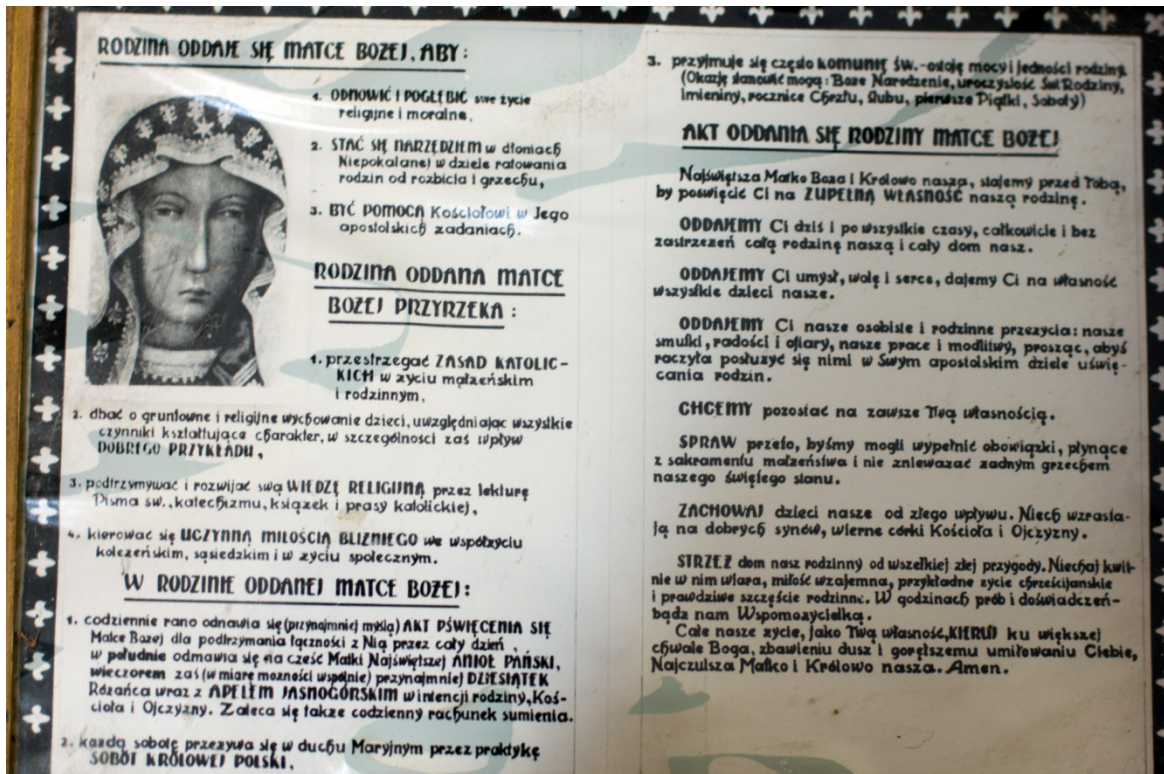
Stanisław i Zofia wychowali wspólnie gromadkę dzieci: Basię, Antosia, Janka, Jureczka, Józia i Otylię, którą wszyscy od małego wołali Ola. Kiedy Zosia ze Stanisławem, wielkim wysiłkiem, kształcili wszystkie dzieci najlepiej jak ich było stać, kiedy, w połowie lat pięćdziesiątych, przyszedł czas, aby posłać do szkoły średniej najmłodsze dziecko, Olę, urodzoną zaledwie kilka miesięcy przed aresztowaniem w 1942 roku, Zofia postanowiła, że pośle je do szkoły w Warszawie. Jak postanowiła, tak zrobiła. Pod koniec sierpnia 1958, a może to był rok 1959, razem ze Stanisławem zawieźli Olę na pociąg do Goworowa, skąd już razem we dwie, pojechały do stolicy. Ola zamieszkała u rodziny i poszła do szkoły. Zosia zaś wróciła do Goworowa, skąd rowerem, który wcześniej zostawiła sobie u rodziny w szopce, wróciła do domu do Kruszewa. Kiedy jechała do domu, pokonując kolejne kilometry żwirowanej drogi na rowerze „Original Tornado”, tym samym, który od lat trzydziestych służył jej i całej rodzinie w czasach dobrych i złych, nie zastanawiała się wcale nad tym, jak bardzo jest on związany z jej losami i losami całej jej rodziny. Liczyło się tylko jedno - że był na chodzie. Ciągle na chodzie.

Zosia, zadowolona ze swojej misji, wróciła do domu i dopiero teraz przypomniała sobie, o liście do Silbersteina, który leżał od wojny w szufladzie. Otworzyła go ponownie, jakby chciała sprawdzić, czy jeszcze tam jest i czy w ogóle jest tam coś napisane. List był w takim stanie w jakim sporządził go Szmul. Zosia westchnęła, na wspomnienie tego wydarzenia i schowała list na miejsce. Wiedziała już, że nigdy z niego nie skorzysta. Szmul, jak uciekł ze wsi, już nigdy się nie pokazał. Ona pomocy od nikogo nie potrzebowała, to i do żadnego Silbersteina nie poszła. Córka Ola, w Warszawie, była już zabezpieczona i ona, Zosia, nie musiała już u nikogo obcego szukać pomocy. Jednak i tutaj los, a może przypadek, jeszcze raz doszedł do głosu.

Sierpień 1963 r., w Kruszewie, Goworowie, Warszawie...

Ola, najmłodsza córka, Zofii i Stanisława, od czasu kiedy pojechała do Warszawy na nauki, tak się tu zadomowiła, że ani myślała wracać do rodzinnego Kruszewa. Życie stolicy, wielkiego i ciągle rozbudowującego się i odbudowującego się miasta, wciągnęło ją bez reszty. W końcu znalazła tu miłość swojego życia i w sierpniu 1963 roku poślubiła swojego wybranego Jureczka, i jak później mówiła, duże znaczenie miało dla niej również to, że nosił on imię jej ulubionego z braci. Ola nic nie wiedziała o liście Szmula ani tym bardziej o tym, że jakiś Silberstein, Żyd z Warszawy, miał ten list od jej matki kiedykolwiek otrzymać. Kiedy Szmul pisał swój list, nie było jej jeszcze na świecie. Jakim więc zrzędzeniem losu musiał być fakt, że podczas swojej edukacji w Warszawie, Ola zaprzyjaźniła się z dziewczyną o kruczoczarnych włosach, Niną. Kiedy dwa lata później, Oli i Jurkowi, urodziła się córeczka, poprosili Ninę, by ta została jej matką chrzestną. Nina nie odmówiła, choć była Żydówką. Od czasu, kiedy podczas wojny, jej rodzice, dla ratowania córki, ochrztili ją i wychowali w wierze katolickiej, nawet jej przez głowę nie przeszło, żeby odmówić. Szczególnie swojej najlepszej przyjaciółce, Oli. Jej chrześnica wyrosła na piękną, mądrą kobietę, o kruczoczarnych włosach. Zupełnie jakby to Nina była jej matką, a przecież było zupełnie inaczej.

Rodzice Niny nosili nazwisko Silberstein. Do dzisiaj, ani Ola, ani jej córka, nie wiedzą nic o istnieniu listu Szmula. Może więc tego listu nigdy nie było? Może to wszystko były jedynie zmyślone opowieści Zofii, które chłonałem jak gąbka, kiedy mi je opowiadała na ganku w Kruszewie. Ja jednak wierzę, że jakieś ziarno prawdy w tym wszystkim jest. Jedno wiem na sto procent. Rower „Original Tornado” istniał naprawdę. Odkąd pamiętam, stał w szopie lub oparty o ścianę domu w Kruszewie, a ja nie mogłem się doczekać, żeby nauczyć się na nim jeździć.



Pamiętka oddania się rodziny Majkowskich w macierzyńską niewolę Maryi za wolność Kościoła, Kruszewo, parafia Goworowo, 13 maja 1967 r.,

13 maja 1967 r., w Kruszewie, Goworowie...

Miałem wtedy dokładnie siedem lat. No dobra, i jeden dzień więcej, bo mamie zabrakło czterech godzin by mnie urodzić dokładnie 13 maja. We wrześniu miałem pójść do pierwszej klasy. Tymczasem siedzieliśmy z rodzicami w Kruszewie. Z okazji imienin Zofii. W dwudziestą rocznicę swojej pierwszej, dziękczynnej wyprawy do kościoła w Goworowie oraz w rocznicę złożonego przyrzeczenia, Zofia ponownie pojechała do kościoła. Z całą rodziną, już nie rowerem, choć rower „Original Tornado”, jak wierny towarzysz, stał nadal w tej samej szopie, obok stodoły. W tym dniu, Zofia, w sposób szczególnie jeszcze raz podziękowała Opatrzności Bożej, za swoje cudowne ocalenie, za ocalenie rodziny oraz za to, że udało jej się dotrzymać danego Bogu słowa. Jednak nie tylko to było powodem jej wizyty w kościele. W tym dniu, w podziękowaniu za odzyskaną wolność kościoła w Polsce oraz za całe dobro jakim Zofia i jej rodzina została obdarowana, oddała Zofia siebie i całą swoją rodzinę w, jak to napisała na odwrocie pamiątki tego wydarzenia, „w macierzyńską niewolę Maryi za wolność Kościoła”.

Taka była Zofia i takie było jej rozumienie świata. To wtedy chciała żebym i ja został księdzem i rozgłaszała to wszem i wobec. Ja wtedy wolałem jeździć na jej rowerze „Original Tornado”. Tym bardziej, że dopiero co się nauczyłem tej trudnej sztuki. Na „dorosłym” rowerze. Byłem z siebie bardzo dumny. Wtedy też, w Kruszewie, pierwszy raz opowiedziała mi tę historię o swoim pobycie w więzieniu w Fordonie k. Bydgoszczy.

10 maja 1980 r., w Łodzi...

Drugi raz opowiedziała mi tę historię w 10 maja 1980 roku. Miała wtedy 75 lat i jak na swój wiek była nadal w dobrej formie. Rower staruszek, produkcji bydgoskich firm, stał sobie w szopie, a Zofia, obchodziła swoje imieniny w Łodzi, na przyjęciu komunijnym jednego ze swoich 12 wnuków, mojego brata Macieja. Gdyby ją wtedy zapytać o ten rower, powiedziałaaby, że dalej jeździ na tym samym, starym „Tornado”. Tym z Bydgoszczy. Jeszcze sprzed wojny. W wieku 75 lat. Do Goworowa. Do kościoła i do sklepu. 6 km tam i 6 km z powrotem. Pozazdrościć.

Kiedy w 1989 roku, w Kruszewie, Stanisław oddawał , za emeryturę, swoje gospodarstwo jednemu z sześciorga dzieci, które miał z Zofią, w tym samym czasie ja z żoną

i pierwszym synem podejmowaliśmy równie ważną decyzję. Decyzję o poszukaniu sobie zupełnie nowego miejsca dla siebie i naszej rodziny. Stanisław był już wtedy schorowany, ale Zofia nadzwyczaj dobrze się trzymała i sprawnie zarządzała całym ich majątkiem. Nie było jej to specjalnie w smak, iść na łaskę do syna, ale wiedziała, że syn jej krzywdy nie zrobi, a jakby co to inny syn, ksiądz kanonik, w tym czasie z Sierpca, weźmie ich wszystkich i poustawia jak trzeba. Stanisław skończył właśnie 88 lat. Czy ktoś z nas dzisiaj myśli o emeryturze dopiero w wieku 88 lat?

23 lutego 1994 r., w Kruszewie, Goworowie...

Stanisław umarł w domu, w Kruszewie i został pochowany w Goworowie. Rower staruszek „Original Tornado” , prawie jego równolatek, ale jeszcze na chodzie, stał sobie dalej w szopie z prawej strony stodoły. Wiem, bo sam to sprawdziłem. Wtedy właśnie Zofia poprosiła mnie o przysługę mówiąc:

- Pamiętasz, jak opowiadałam ci o Fordonie, więzieniu, o wojnie i całej tej mojej tułaczce?

- Oczywiście, że pamiętam – odparłem

- Posłuchaj. Chodzi o to, żebyś ty tam się rozejrzał, poszukał, gdzie to Ilgenau, Langenau, czy jakoś tak było. Żebyś tych ludzi poszukał. Może ktoś jeszcze żyje albo ich jakieś dzieci czy wnuki. Może ktoś pamięta, co to wtedy było, jak oni mnie tam znaleźli i w ogóle – mówiła trochę nieskładnie, jak to zawsze miała w zwyczaju.

- To musi być gdzieś koło tej waszej Bydgoszczy, bo jakeśmy się nawrócili z tego Koronowa, to szliśmy przez cały dzień aż wieczorem doszliśmy do takiego mostu, przez rzekę

- Przez Brdę, babciu, bo most w Fordonie był wtedy zburzony – odpowiedziałem. Wiem, bo trochę sobie poczytałem o tej miejscowości, w której teraz przyszło mi mieszkać – kontynuowałem.

Od 1989 roku mieszkałem bowiem w Bydgoszczy, a od dwóch lat, już na swoim, w Fordonie, największej sypialni miasta. Kiedyś miasteczku, teraz 80-tysięcznej dzielnicy. Los mnie tu rzucił z rodzinnej Łodzi. Tutaj, nad Brdę i Wisłę, trochę za chlebem, trochę w poszukiwaniu swojej drogi życia, po tym jak założyłem rodzinę. Wtedy, w 1994 roku, byliśmy z Olą 7 lat po ślubie, z dwójką małych dzieci. Mieliśmy oboje dobrą pracę i perspektywy na przyszłość.

- Chiba, ja tam nie pamiętam już, czy to Brda czy inna była. Tego mostu, co go tym pociągiem przejechałam. A potem to już było to „Ilgenau, czy coś”, i tylko to wielkie drzewo pamiętam, a tych ludzi to wcale nie. Nawet nie wiem teraz, czy to byli Polacy czy Niemce – kurpiowskim zaśpiewem ciągnęła Zofia.

- Bo jak się już dowiesz, no, jak już będziecie w tej waszej Bydgoszczy, to znajdź tych ludzi i im podziękuj.

- Poszukam. Jak znajdę, to podziękuję.

...

Stanisław umarł 23 lutego 1994 roku, w domu, w Kruszewie, prawie dokładnie w swoje 88 urodziny, które przypadały na 26 lutego. Został pochowany w Goworowie i jak przystało na ojca księdza kanonika, mszę pogrzebową odprawiało 6 księży, w tym oczywiście ksiądz kanonik Antoni – syn Stanisława i Zofii oraz jego mentor i przyjaciel, a zarazem ten, który wyświęcił Antoniego na kapłana, sam biskup Dudziec, zresztą, pochodzący z bliskiej rodziny Zofii. Rower staruszek „Original Tornado”, jeszcze na chodzie, stał sobie dalej w szopie, z prawej strony stodoły. Wiem, bo sam to osobiście sprawdziłem. Zofia została sama, na gospodarstwie u syna Józefa choć właściwie u siebie.

2 lutego 1998 r., w Karniewie, Kruszewie, Goworowie...

Zofia zmarła w 2 lutego 1998 roku. Miała wtedy 87 lat. Dożyła prawie tego samego wieku, co Stanisław. Gdyby się urodzili w tym samym roku, zmarliby razem. Jak mąż i żona. Zawsze razem. Tak jak szli razem, choć czasem osobno przez życie. I podobnie jak wtedy, syn Antoni, kanonik z Sierpca, wtedy proboszcz w Karniewie na Mazowszu, wraz z biskupem Dudźcem i swoimi kolegami, odprowadzili ją na miejsce jej ostatniego spoczynku. Towarzyszyliśmy jej całą rodziną w tej drodze. Do końca.

Wtedy, w lutym 1998 roku wracaliśmy z Olą do Fordonu. Z pogrzebu Zofii. Może nie tą samą, ale równie długą drogą, którą, równo pięćdziesiąt trzy lata wcześniej, przebyła Zofia pieszo, wracając z Fordonu k. Bydgoszczy, do swojego domu w Kruszewie k. Goworowa, na mazowieckiej wsi. Wracaliśmy z Olą do tego samego Fordonu, z którego pięćdziesiąt trzy lata wcześniej „wprowadziła się” Zofia. Wracaliśmy tu, gdzie postanowiliśmy osiąść i wieść nasze życie codzienne a skąd Zofia, za wszelką cenę, chciała uciec, by wrócić w swoje rodzinne strony. Te same motywacje naszych podróży kierowały nas w całkowicie przeciwnym kierunku, a ja siedząc za kierownicą, rozmyślałem, że nie zdążyłem przed

odejściem Zofii, wypełnić danego jej słowa. Niestety, dopóki żyła, mimo, że mieszkałem już tutaj, w Bydgoszczy, to jednak nie udało mi się ani odnaleźć „Ilgenau, czy coś tam”, ani ludzi, którzy tam wtedy mieszkali.

1 marca 2015 r., w Bydgoszczy, Fordonie...

Moje poszukiwania Ilgenau, Langenau, Gilgenau lub czegoś podobnie brzmiącego w okolicy Bydgoszcz spełzły na niczym również później. Najbardziej prawdopodobne jest to, że Zofia dotarła wtedy do Łęgnowa, nazywanego wówczas Langenau. Dzisiaj, po kolejnych latach poszukiwań i ustaleń mam większe przekonanie, ale nie pewność, że to musiało być Łęgnowo. Dlatego dzisiaj, choćby tą drogą, składam tym ludziom podziękowanie. Za to, że tam byli. Za to, że przystanęli i pochylili się nad zamarzającą na poboczu drogi Zofią. Za troskę i za to, że ją wyleczyli, odkarmili i wyposażyli na drogę. Drogę do domu. Dziękuję w imieniu Zofii, Stanisława, ich dzieci, w tym Jerzego, mojego ojca oraz w imieniu własnym. Dziękuję, że byli ludźmi.

Nie ma już dla mnie znaczenia, że Zofia mogła pójść całkiem inną drogą. Zamiast przez Langenau pójść rzez Ilgenau lub Gilgenau. Pamięć Zofii, akurat w tym miejscu, była niestety zawodna. W każdym z przypadków, mogło tak być, bo było to jej po drodze do Kruszewa, jej rodzinnej wsi. Kruszewa w gminie Goworowo, na południe od Ostrołęki. Tam skąd pochodził mój , nieżyjący już dzisiaj ojciec Jerzy, syn Stanisława i Zofii. Skąd, w pewnym sensie pochodzę ja, choć urodzony i wychowany w Łodzi, to ochrzczony w kościele w Goworowie przez księdza Antoniego, syna Stanisława i Zofii, trzymany do chrztu przez Józefa, syna Stanisława i Zofii. Ja, który obiecałem Zofii z Kruszewa, że przejdę te kręte ścieżki jej życia, które ją przywiodły na kilka ciężkich lat wojny do Fordonu k. Bydgoszczy. Tam gdzie, z górą, siedemdziesiąt lat później mieszkam i piszę o niej ten tekst. O Zofii i o jej mężu Stanisławie. Moich dziadkach. Tak oto dziwnie posplatał los dzieje mej babci Zofii i moje dzieje. Splątując Kruszewo sprzed wojny z Bydgoszczą i Fordonem w roku 2015. Wplatając we wszystko rower o oryginalnej nazwie „Original Tornado”, produkcji bydgoskich firm, który w innej już szopie, ale stał w Kruszewie jeszcze kilka lat temu. Na pewno. Może tam stoi do dziś.

Może to jest przypadek. Może los. Może sprawstwo kogoś lub czegoś. Jednak dziwnie się czuję z tym, że los mi kazał chodzić ścieżkami Zofii, na długo wcześniej niż wiedziałem, że nimi chodziła. Powoli zaczynam wierzyć, że to, co mi los zgotował , tu w Bydgoszczy i w

Fordonie, było w jakimś sensie spłaceniem długu wdzięczności, jaki Zofia zaciągnęła u dobrych ludzi z Łęgnowa. Czy już ten dług spłaciłem, czy jeszcze nie? Nie wiem. Dowiem się może na koniec. Tyle z historii mojej rodziny. Losów przeplatanych Bydgoszczą, Fordonem i rowerem „Original Tornado”, choć myśmy wcale nie stąd a jakby na swoim miejscu.

...

Cóż powiem, jeżeli Zofia, z Koronowa, poszła całkiem inną drogą i w tej malinie doszła rzeczywiście aż do Ilgenau w Prusach? Tak dawniej nazywano majątek Angerapp, w okolicach dzisiejszej miejscowości Mieduniszki w widłach Węgorapy, koło dzisiejszej miejscowości Rapa. Tu miał swój wielki majątek artysta i ekscentryk z rodu Fahrenheitów, właściciel majątku w Rapie, baron Friedrich von Fahrenheit, który kupił wieś i majątek od Christoph'a von Rap, stąd nazwa wsi, zaś główna siedziba Fahrenheitów znajdowała się w położonych kilkanaście kilometrów na północ Bejnunach (Beynuhnen), dziś w obwodzie kaliningradzkim.

Cóż powiem, jeżeli Zofia, w swej wędrówce dotarła aż do wsi Elganowo (dawniej Gilgenau)? Wsi położonej w województwie warmińsko-mazurskim, w powiecie szczytnieńskim, w gminie Pasym.

Jedną i drugą z wymienionych dróg też jej było po drodze. Tyle, że ta historia byłaby mniej ciekawa i mniej prawdopodobna. Zofia wie o tym najlepiej.

Kiedy dzisiaj, jako dojrzały, by nie powiedzieć, zaawansowany wiekowo człowiek, zastanawiam się nad przedziwną historią własnej rodziny, której to historii jedynie mały fragment tutaj przytoczyłem, wiem jedno. To Zofia był tą osobą, która znaczyła w moim życiu najwięcej. To ona nauczyła mnie wszystkiego. Wytrwałości i determinacji w dążeniu do celu. Wiary w Boga i tolerancji dla innych religii. Pracowitości i niepoddawania się w trudnych, czy wręcz beznadziejnych sytuacjach życiowych. Może nigdy nie udało mi się okazać jej mojej wdzięczności, za jej życia. Dlatego dzisiaj, choć w niewielkim stopniu, staram się spłacić ten dług tą opowieścią. I choć mam nadzieję, że nigdy już nas wszystkich nie dotkną okropności czasu wojny i Holocaustu, to wiem, że trzeba je ciągle przypominać, by budzić świadomość w młodszych pokoleniach, by dawać świadectwo i oparcie dla słów Antoniego Słonimskiego, wykorzystanych przez prof. Władysława Bartoszewskiego w jego książce zatytułowanej: „Warto być przyzwoitym”, z którym podobno Bartoszewski się

przyjaźnił, a który napisał genialne zdanie, które powinno być drogowskazem dla każdego naszego postępowania:

„Jeśli nie wiesz, jak należy się w jakiejś sytuacji zachować, na wszelki wypadek zachowaj się przyzwoicie.”

Ganek Zofii



Zdjęcie ilustracyjne na poprzedniej stronie:

Ganek Zofii, Kruszew-Kraków 2014, autor zdjęcia: Maciej Majkowski, za zgodą autora.



Zofia Majkowska z prawnukami 28 lipca 1995 r., na ganku swojego domu w Kruszewie, z zasobów własnych autora.

Ganek Zofii

Już z daleka połyskiwał na nim blaszany dach. Jakby ktoś czerwonym złotem pociągnął całą połąć. Jakby mało było tej czerwieni, rozlewała się ona bordowym zaciekiem na ściany aż po same kamienne podwaliny. Komin z czerwonej cegły wyrastał z dachu tak niepozornie, że nie był do końca wiadomo czy on sam tam stoi, czy może jest tego dachu fikuśnym przedłużeniem. Tylko siwy dym, uchodzący jak duch ku niebu, bił prosto i dostojnie. Jak zawsze, gdy pod płyta było napalone.

Na ganku, w otwartych na oścież oszklonych drzwiach, siedziała ona. Jak za każdym razem, kiedy wypatrywała każdego zapowiedzianego i niezapowiedzianego gościa. Gość w dom, Bóg w dom. Kot łąsił się do jej nóg, jakby wiedział, że w kance, w sieni, ma gdzieś dla niego schowane mleko z porannego udoju. Tłuste, pachnące, najlepsze na świecie.

Okiennice od strony ogrodu, otwarte na oścież, zapraszały do wnętrza, jak zawsze. Jakby chciały swoimi ramionami zagarnąć każdego, kto będzie przejeżdżał piaszczystą drogą obok. Za uchylnym oknem słychać było gwar zasiadających przy stole. Wszyscy czekali na spóźnialskich, bo przecież było wiadomo, że przyjadą. Zawsze przyjeżdżają. Na jej święto, na Zofii, w czas kiedy Zofija kłosa rozwija, ciągnęli tutaj jak pszczoły do miodu, by się u źródła posilić. Słowem, spojrzeniem, miłością, której im nie szczędziła nigdy.

Na podwórzu, gdzie szpilki już nie było jak wcisnąć, stały obok siebie ich współczesne blaszane furmanki. Pozmieniało się, panie, pozmieniało – mówiła za każdym razem Zofia, gdy patrzyła jak zajeżdżają jeden po drugim. Jedyne widok wozu w szopie i koński łeb wychylający się ze stajni, upewniały ją, że jeszcze nie do końca. Jeszcze nie wszystko. Jeszcze nie.

Jeszcze w studni woda hen, na dwadzieścia cztery kręgi głęboko. Jeszcze w stodole siano zeszłoroczne, ostatnim kursem z łąki zwiezione. Jeszcze trochę zboża do omłotu czeka, bo nie było komu i kiedy pomóc, by tę resztę wymłócić. Dzisiaj święto. Jej święto. To przy świecie młócić nie będą, ale jak tylko jutro, od rana wstaną, zaraz ich Zosia do roboty zagoni, bo to grzech by spać dalej niż do szóstej i starym rodzicom nie pomóc. Wymłócić trzeba, choćby i jutro.

...

Odwracam głowę i patrzę ponownie. Na ganek, w którym stare zasłony, nie prane od lat. Na drzwi zamknięte na głucho. Na komin, zimny jak lód, z którego ni dym, ni duch Zofii się już nawet nie unosi. Jedyne kurz na piaszczystej drodze obok domu snuje się jak wtedy i pokrywa moje bose stopy ożywczym chłodem. Idę przed siebie, zostawiając tamten widok w pamięci. Zofia siedzi na ganku i macha do mnie na pożegnanie. Pewnie przyjdzie się przywitać ponownie, już niedługo.

Łąki nad Nerem



Zdjęcie ilustracyjne na poprzedniej stronie:

Łąki nad Nerem, autor zdjęcia: Maria Duszka, okolice Małynia, 2018 r., za zgodą autorki

Leokadia

Leokadii Różyckiej (1928-1943)

Gdy ma się piętnaście lat –

Wszystko jest możliwe.

Wszystko jest piękne.

Wszystko jest proste.

Wszystko jest przed.

Gdy się ma piętnaście lat, a dokoła trwa wojna –

Nie wszystko jest możliwe.

Nie wszystko jest piękne.

Nie wszystko jest proste.

Nie wszystko jest przed.

Miałaś wtedy piętnaście lat –

W domu stała przystrojona choinka.

Wigilia Bożego Narodzenia.

Wszystko jest możliwe w Wigilię Bożego Narodzenia.

Także śmierć.

Zapach tataraku

Kuzynom z Charbic i Konstantynowa, na wspomnienie dzieciństwa, które już nie wróci...

Duszno. Nad Nerem krowy pasą.
Po drugiej stronie, w łożach olszyn,
echo odbija się od lasu
i nie wiem czy powrócić zdąży.

Tatarak pachnie i zniewala.
W głowie się kręci od zapachu,
a pamięć cierpi. Nie pozwala
zapomnieć w sobie tego strachu.

Bo przecież kiedyś wszystko minie.
Wszystko rozplynie się jak opar.
I to, że kiedyś tej dziewczynie
spodobał bardzo się ten chłopak.

I to, że razem szli do lasu
na grzyby, na jagody. Wreszcie.
A gdy wracali, to zawczasu
już układali bajki pierwsze.

Że dzisiaj słabo, grzybów nie ma,
jeżyny niedojrzałe, pierwsze.
Jedynie dziwny ten aromat
mówił gdzie byli i coś jeszcze.

Tatarak zdradził ich od razu.
Siano we włosach zaplątane.
I to, że inni przyszli z lasu,
przynosząc kosze wprost wypchane.

W pamięci chowam tamten obraz.
Strzegę jak klejnot, dar bezcenny,
a kiedy tęsknię, wraca nieraz.
Tatarak pachnie, jestem senny.

Ner pierwszy

Duszno, od rzeki zapach płynie.
Dziwny i mdlący, nieprzyjemny.
I nawet powiew zmarł w leszczynie
jakby niechętny. Też nie zdzierzył?

Rzeko, gdzie życie zapodziałaś?
Jak długo jeszcze martwą będziesz?
Rzeko, u Twego stoję ciała
patrzac, że wkrótce całkiem zemrzesz.

Ner granatowy łąką sunie.
Tak pierwszy raz zapada w pamięć.
W upalne, duszne popołudnie.
Migawki pierwsze z wielu pstryknięć.

Próg pierwszy

Poprzez zielony próg, wysoki,
przedzieram się jakby przez chaszcze.
Trawa rozchyła się na boki
i delikatnie nogi głaszcze.

Idę, lecz kroków swych nie słyszę.
W tej trawie się schowałem cały.
A ponad łąką, tkwi w zawisie
jastrząb, jak łowca doskonały.

Ktoś idzie za mną. Z troską wielką.
Uważnie śledzi kroki moje
i baczy, bym doliną ciemną
przeszedł bez lęku, choć się boję.

Wołam ją – „Mamo! Zobacz, zobacz!”
Ona odwraca się, spogląda.
Słońce buszuje w jasnych włosach.
Dobrze pamiętam, jak wygląda.

Nie pierwszym progu łąki życia
nie przystanąłem, ni na chwilę.
Nie szukam w lustrze jej odbicia.
Zapamiętałem. Chociaż tyle.

Bagnisko

Alinie Zofii Majkowskiej z d. Różyckiej (1939-2003)

Na łące jeszcze woda stoi.
Zapadam się aż po kolana
i brnę do skraju, do ostoi,
gdzie czekasz na mnie, roześmiana.

„Co, zimna woda?” Zimna mamó.
– powtarzam, jak to echo durne,
a ty podrzucasz mnie na siano.
Włosy masz jeszcze takie bujne.

„Bagnisko wszędzie, nic tu po nas.
Trzeba poczekać aż obeschnie.”
I wciąż czekamy, bo nie pora.
Jedynie łąki twe – niebieskie.

Łąka pachnąca

Alinie Zofii Majkowskiej z d. Różyckiej (1939-2003)

Przyniosłaś z łąki świeży zapach.
Mocny i cierpki, aż duszący.
Wydarty słońcem wonny napar
z tatarakowych świeżych kłączy.

Przyniosłaś z łąki zapach malin,
co rwałaś w lesie, na polanie,
a sok z dojrzałych ich koralii
skrwawił Twe ręce tylko dla mnie.

Przyniosłaś z łąki zapach rosy,
co rankiem zmyła stopy Twoje.
We włosach niedojrzałe kłosy.
Niebem z Twych oczu się ukoję.

Ławka

Szczepanowi Różyckiemu (1889-1973)

Gwóźdź w ceglanej ścianie.
Czapka znoszona, wypłowiła,
co ma chronić od słońca,
co ma chronić od deszczu,
co ma chronić od wiatru,
co ma być, gdy będzie potrzebna.

Ławka przy ceglanej ścianie.
Laska jałowcowa, zużyta,
co ma pomóc wstać,
co ma pomóc usiąść,
co ma pomóc odejść,
co ma być, gdy będzie potrzebna.

Oparci o ceglana ścianę
siedzimy odlegli prawie o wiek,
co nie dzieli, a mógłby,
co nie zabiera, choć chciałby.
Wspominasz łąkę i kosę z szopy
co ma być, gdy będzie potrzebna.

Jadzia

Jadwidze Delickiej z d. Różyckiej (1942-2000)

Usta krwawe od jeżyn.
W koszu grzybów aż miło.
Przyjdzie w końcu uwierzyć,
że się lato skończyło.

Ty masz oczy jak studnie.
Włosy czarne i lśniące.
Upał. W samo południe
morwy pachną, kuszące.

Mówię do Ciebie – „Mamo”,
choć jesteś tak młoda.
Nie wyglądasz tak samo.
Inna Twoja uroda.

Mama włosy ma jasne,
oczy całkiem niebieskie.
i wciąż pędzi gdzieś miastem.
My tu na wsi, bezpiecznie.

Mam dwie matki, dwie inne,
choć siostry rodzone.
Mam dzieciństwo niewinne,
z Tobą, Mamo, spędzone.

Pierwsze bajki i wiersze.
Andersena tomisko.
I maślaki, też pierwsze,
gdy na boso, przez rżysko.

Pierwszą woń tataraku.
Noc na strychu, na sianie.
I naręcza modraków.
Wina z nich dojrzewanie.

Wciąż pamiętam tak wiele.
Lecz nic więcej nie będzie.
Milczą dzwony w kościele.
Milczę ja. Tu i wszędzie

Letnia kuchnia

W letniej kuchni płonie pod blachą.
Naleśniki jeden po drugim.
My, zwiedzeni wonnym zapachem,
na wyścigi z uśmiechem błogim.

Za stodołą – droga do lasu.
Tam maliny, tam grzyby pierwsze.
Jednak przeszło już tyle czasu...
Z oddalenia wspominam wierszem.

Od dwóch dębów, zawsze na straży,
Szydłów, Puczniew, nad Nerem mostem,
„Na Malanów”, tak mi się marzy.
Z letniej kuchni wiersze przyniosłem.

Próg drugi

Łąka już skoszona, siano zagrabione.
Czas wracać do domu za drogą.
Wieczór już się skrada, przysiada za domem,
i znika też mysz pod podłogą.

W remizie już grają. W wir ciała skręcone,
kurz z desek dębowych podnoszą.
Noc pędzi hulaszczą, choć ciało zmęczone.
Postaci w dwójnasób się mnożą.

Próg drugi przekraczam pod bramą remizy.
Świat kręci się w głowie zdumionej.
Raz łąka, raz niebo. Ktoś gra „Do Elizy”.
Marzenia swe gonię i trwonię.

Wracamy nad ranem, pod ramię objęci.
A świt się uśmiecha szyderczo.
Próg drugi zrobiony. My dziwnie wygięci.
Na moście nad Nerem – concerto.

Ner drugi

Chłodno, nad rzeką opar płynie.
Biały jak całun, co nad zmarłym.
Wiatr całkiem umarł już w leszczynie
i tęskni sam za latem parnym.

Rzeko, gdzie życie zapodziałaś?
Jak długo jeszcze martwą będziesz?
Rzeko, u Twego stoję ciała,
patrzac jak całkiem się poddajesz.

Ner gdzieś tam płynie, pod oparem,
i drugi raz zapada w pamięć.
Zapamiętuję te detale.
Migawki drugie z wielu pstryknięć.

Próg trzeci

Wóz we dwa konie zaprzężony.
Obok woźnicy drobna postać.
Czas ruszać w drogę. Mąż złożony.
Trumna przykryta. Tak ma zostać.

Po drodze łąka, całkiem siwa.
Szron na niej trawy dęba stawił.
I wraca pamięć, ciągle żywa,
o dniu, co siły go pozbawił.

Wieje. Śnieg prószy. Mróz skrzy liście.
Pod górę koń mozolnie drepcze.
I wszyscy wierzą, oczywiście,
że tam go czeka życie lepsze.

Jak mu tam będzie? Gdzie on teraz?
Myśli po głowie się kołaczą.
Niełatwo będzie się pozbierać.
Oczy dokoła patrzą, płaczą.

Na trzecim progu stoję w kręgu,
który otoczył dół wybrany
i wyzbyć się nie mogę lęku.
Tego, co pierwszy raz mi dany.

Śmiertelny człowiek, kruche życie.
Kiedyś każdego koniec przecieź.
I tylko dla mnie to odkrycie,
gdy w drżącej ręce trzymam świecę.

Patrzę na matkę, która płacze.
Wtedy wciąż myślę, że jest wieczna.
Za lat trzydzieści jest inaczej.
Nie myślę – płaczę. Brak powietrza.

Ner trzeci

Mroźno, a rzeką lód nie płynie.
Woda o sino-burej barwie.
Śnieg zawiął stary dukt w leszczynie
i dach z gałęzi zaraz zarwie.

Rzeko, gdzie życie tve uciekło?
Jak długo jeszcze będziesz martwą ?
Me serce kirem się oblekło
patrzac na wodę Twoją marną.

Ner ciągle płynie, granatowy.
Zapada trzeci raz w mą głowę.
Śniegowce grzęzną do połowy.
Migawki trzeci trzask. Gotowe.

Kalosze

Stefanii Różyckiej z d. Pietras (1898-1977)

Zawsze stały w sieni.
Mama brała je na łąkę.
Jadzia brała je na grzyby.
Brałem je po deszczu.
Uwielbiałem rów szumiący wodą.
Uwielbiałem kałuże do pół łydki.
W kaloszach.

Mówili, że wybrałaś drogę na skróty.
Przez płot na łąkę bliżej.
W kaloszach.

Nigdy nie widzieli kaloszy pełnych krwi.
Przez płot do nieba bliżej.
W kaloszach.

W Twoich kaloszach.

Chleb z margaryną

Irenie Różyckiej z d. Woźniczka (1927-1975)

Wróciliśmy wieczorem znad łąki.
Muchy obsiadły całą ścianę.
Nakryłaś do stołu.
Chleb.
Mortadela.
Margaryna.
Kiedyś Cię ta margaryna zabije.
Kiedyś może zabije nas wszystkich.

Siedliśmy do kolacji na dworze.
Zasłużona nagroda.
Kolacja.
Herbata Ulung.
Cukier. Dużo cukru.
I chleb z mortadelą i margaryną.
Kiedyś Cię ta margaryna zabije.
Kiedyś może zabije nas wszystkich.

Zadzwonili do matki, że jest źle.
Muchy czarne jej się śniły.
Wiedziała czemu.
Nie od chleba.
Nie od mortadeli.
Nie od herbaty czy cukru.
Lekarz mówił, że to od margaryny.
Kiedyś na pewno zabije nas wszystkich.

Komar

Kazimierzowi Różyckiemu (1924-1990)

Pyr, pyr, pyr – z kosą na łąkę.
Pyr, pyr, pyr – z przyczepką po siano.
Pyr, pyr, pyr – z bańką na udój.
Pyr, pyr, pyr – z bańką z mlekiem.
Pyr, pyr, pyr – z bańką do mleczarni.
Pyr, pyr, pyr – po chleb, do sklepu.
Pyr, pyr, pyr – do pracy w mleczarni.
Pyr, pyr, pyr – tam i z powrotem.
Pyr, pyr, pyr – tam i z powrotem.
Pyr, pyr, pyr – tam i z powrotem.
Pyr, pyr, pyr – tam i z powrotem.
Pyr, pyr, pyr – Komarem.

Ciągle wyłącznie – pyr, pyr, pyr.
Oflag w kościach – pyr, pyr, pyr.
Bürger w żyłach – pyr, pyr, pyr.
Dymek w płucach – pyr, pyr, pyr.
Samo życie – pyr, pyr, pyr.
Całe życie – pyr, pyr, pyr.
Komarem – pyr, pyr, pyr.
Tylko – pyr, pyr, pyr.
Dokąd tak? – pyr, pyr, pyr.

Teraz już wiesz.

Ner czwarty

Na moście, co nad Nerem, stoję.
I całkiem nie poznaję rzeki.
W leszczynie znowu są ostoje.
I śpiew się niesie, śpiew daleki

Rzeko, wróciłaś! Jesteś żywa.
Śmiało się toczysz przez równinę.
i wodą swoją znów przyzywasz
stworzenie wszelkie, gdy tak płyniesz.

Ner płynie modry, do dna widny.
Pamięć niech mi go uwydatni,
bo po raz pierwszy całkiem inny.
Migawki czwarty trzask. Ostatni.

Łąka odrodzenia

Ktoś nas na łąkę znowu przyprowadzi.
Ktoś nam w leszczynie chłód ożywczy stawi.
Ktoś nas nad Nerem znowu tu zgromadzi
byśmy, jak dzieci, mogli się znów bawić.

Już widzę łąkę, łąkę odrodzenia.
Już się nie lękam, stawiam kroki śmiało.
Już was spostrzegam na granicy cienia,
co się z leszczyny zwiesza jak powałą.

A popod cieniem widzę wasze twarze.
Jeszcze nie całkiem wyraźnie i ostro.
Jednak nadzieja uwierzyć mi każe.
Czas się przywitać. Z matką. I z jej siostrą.

Pan nas na łąkę znowu przyprowadził.
Pan nam w leszczynie chłód ożywczy stawił.
Pan nas nad Nerem, wszystkich tu zgromadził.
Jest jego wolą, czy zechce nas zbawić.

Próg czwarty

Wracam. Od szosy lekko z góry.
Żwir pod stopami chrzęści, rzęzi.
A przed oczami, spod chmury
las się wyłania, na krawędzi.

Dom jeszcze stoi. Lśni czerwono
cegła na ścianie szczytem do mnie.
Wszystko wygląda tak znajomo.
Napływa w głowie fala wspomnień.

Dwa dęby rosły i wysokie.
Jedynie kuchni letniej nie ma.
Firanki, jakby inne w oknie.
Znajomo pachnie jasna ziemia.

Na progu domu kot się pręży.
Kot nieznajomy, zwykły buras.
Czarnej, a choćbym wzrok wyteżył,
nie znajdę tutaj. Dawno w chmurach.

Na czwartym progu stoję dzisiaj.
W domu, za szybą, obce twarze.
Nikt już nie powie: „Witaj, witaj”
Na progu nikt się nie pokaże.

Wracam, choć idzie mi niesporo.
Zostawiam dom z czerwonej cegły.
I tych postaci w nim, kilkoro.
Czas dokonany, tak odległy.

Łąka przypomnień

Jeszcze pamiętam jak pachniesz.
Jeszcze twą szorstkość czuję.
Jeszcze me wiersze czymś natchniesz.
Łąko! Tak, potrzebuję.

Tyś jest mi dana na zawsze.
W powodzi trawy, kwiatów.
Ty we śnie jawisz się także
Łąko! Matko ornatów.

W wierszu, niech Ner wciąż tu płynie.
W wierszu, łąko mi pachnij.
Powiedź, ku tamtej dziewczynie.
Łąko! Myśli me natchnij.

Kiedy mi ciebie zabraknie.
Obraz całkiem zaginie.
Niech słowo me nie wyblaknie.
Łąko! W nim nie przeminiesz.

Łąki nad Nerem

Magdzie, mojej ciotecznej siostrze, na wspomnienie dzieciństwa, które już nie wróci...

Wracam i znowu stopy krwawią.
Trawa tak samo szorstka, ostra.
Ostrożnie kroki swoje stawiam
i wraca pamięć. Ja i siostra.

Ner się leniwie snuje obok.
W trawie buszuje życie wszelkie.
Ledwie widoczny, biały obłok
przesłonił słońce, żółte, wielkie.

A w wodzie się odbija promień
i oczy razi nas, bezczelnie.
Nic już nie widzę. Brak mi wspomnień.
Choć niby pięknie i subtelnie.

A przecież kiedyś ona spyta:
„Pamiętasz tamten czas nad Nerem?”
Co jej odpowiem? Może? Chyba?
Innym zasłonię się plenerem?

Lecz widzę znowu. Słońce pali.
My na tej łące, dzieci jeszcze.
Siano zgrabione, zapach malin
od lasu niesie się powietrzem.

Przeciwnie ścieżki

Januszowi Różyckiemu (1955 - 2017)

Tu, gdzie ten świat wydawał się prosty
i gdzie korony dumnie swe wzniosły
dęby sadzone równo przed wiekiem
gdzie miłość matki była tym lekiem,
Ty byłeś ze mną, zawsze i wszędzie.
Kolejne obraz, krótkie ujęcie.
Znów przywołuje w mojej pamięci
chwile najlepsze. Dokąd najczęściej?

Nad staw, na ryby, na grzybobranie.
Nad Ner, na łąki, w ślad za bocianem.
Do lasu, który tylko przez pole.
I spać na sianie, razem, w stodole.
Podobno wszystko tam się zaczęło.
Tylko właściwie co, jak, dlaczego?
Pytania stawiam bez odpowiedzi.
Nie pytać więcej? Już nie chcesz wiedzieć?

Na dróg rozstaju stoję zdumiony.
Przeciwnie ścieżki, w przeciwnie strony,
wywiodły kiedyś. Po co? Dlaczego?
Ciebie tu blisko, mnie zaś daleko.
A dzisiaj wracam, całkiem spóźniony.
Nikt nie otwiera. W kościele dzwony
biją nierówno, w żałobnej nucie.
I chcę zapomnieć i chcę gdzieś uciec.

Pod parą dębów nikt już nie mieszka.
W domu dach runął, zarosła ścieżka.
I letniej kuchni także już nie ma.
Piszę do Ciebie. List, nie poemat.
Że szkoda żeśmy nie pogadali.
Że żal tych gruszek, czereśni, malin.
Że w rowie woda dawno nie płynie.
Przeciwnie ścieżki. Pamięć w nich ginie.

Przedwczesna zima

Ewie Różyckiej (1959 -2018)

Łąki nad Nerem znowu płaczą.
Przedwczesna zima przyszła na nie
W leszczynie siadła białą szadzią
i ciszę wzmogła, dobry Panie.

Ner, tak jak zawsze, w ciszy płynie.
Unosi z sobą opar rzeczny,
a duch, co skrył się w tej leszczynie,
prośby o żywot składa wieczny.

Łąką uśpiona mu wtóruje,
powtarza prośbę, wznosi w górę,
i łzy szadziowe wypłakuje,
gdy słońce precz odgania chmurę.

Łąki nad Nerem głośno płaczą.
Zaraz je śniegiem skryje zamieć.
Choć przejdiesz, ślady nie zostaną.
Jedynie w nas zostanie pamięć.

Łąka gorąca

Żar z nieba. Zewsząd. Żar jedynie.
Na łące cichną nawet świerszcze.
Jakby czekały, że przyplynie
choć jeden obłok. Piszę wiersze.

O lecie, które właśnie mija.
O tej jesieni co za progiem.
O tej zasłonie, co spowija
tę naszą przyszłość. Gadam z Bogiem.

Żar aż zatyka. Żar na łące.
Skręłem się w cieniu pod leszczyną.
Jakieś mirażę płyną drżące.
Ja na tej łące, z Tą dziewczyną.

Dziewczyna jednak całkiem inna.
Dziewczyna której mieć nie mogę.
Dziewczyna młoda i niewinna,
i niedostępna. W raju, z Bogiem.

Łąko gorąca, łąko letnia,
choć żar twój ledwie wytrzymuję,
niech się wypełni przepowiednia.
Nim całkiem umrę. Nim zwariuję.

Zanim się stanie łąka wieczna,
pachnąca świeżo ściętym sianem.
Niech nam się stanie ta nadrzeczna.
Zwyczajna łąka, dobry Panie.

Choćby i tamta, co nad Nerem.
Gorąca, pełna tataraku.
Na którą, kiedyś tam, rowerem,
jeździłem by podziwiać zachód.

Łąka zapomnienia

Na łące zapomnienia stoję.
W trawie po kostki brodzę.
Na łące zapomnienia, mojej,
naprzeciw wam wychodzę.

Jak żeśmy razem ją kosili.
Jak żeśmy razem ją grabili.
Jak żeśmy siano przewracali.
Jak żeśmy z łąki powracali.

W pamięci zapach tataraku.
W pamięci każdy słońca zachód.
W pamięci zmysłów zapach malin.
W pamięci noszę, jak medalik.

Na łące zapomnienia stoję.
W trawie po kostki brodzę.
Na łące zapomnienia, mojej,
naprzeciw wam wychodzę.

Łąki nieurodzajne



Zdjęcie ilustracyjna na poprzedniej stronie: Bez tytułu

autor zdjęcia: 2509chris, 16 marca 2013, pobrano z <https://pixabay.com/>

Łąki poetów

Na łąkach poetów nic nie jest zwyczajne.
Na łąkach poetów szmaragdowe trawy.
Wiatr czesze swą dłonią łany miododajne,
a panny makowe proszą do zabawy.

Nad łąkami wiersze składają się same.
W trawie grają świerszcze upojną melodię.
Gorące powietrze unosi firanę
z mgieł, które nad ranem przypelzły łagodnie.

Piękne suknie z kwiatów wdziewają rusalki.
Za chmur pada jedynie drobny kapuśniaczek.
W nadbrzeżnym sitowiu zakwitają pałki.
Na łąkach poetów jest jakoś inaczej.

Bruk goworowski

Bruku goworowski,
z kamieni usiany,
dokąd mnie poniosłeś
za te cztery ściany?

Za te pola jasne
pszenicą i żytem.
W butach, co za ciasne,
w czapce wiatrem szytej.

W dali zostawiłem
lasy, łąki, drogi.
Bruku goworowski
jakżem dziś ubogi.

Stawy Jana

W czerni i w bieli. W półtonach wspomnień.
Jakaś kobieta i druga obok.
Patrzę w obiektyw. Trudno zapomnieć.

Stawy lśnią srebrem. Trawa spalona.
Na niebie ledwie widoczny obłok.
Czas ten przeminął. Już się dokonał.

A tam, na brzegu, ciągle trwa lato.
Na Stawy Jana wszystkich wywiodło.
Wiatr po zaroślach szumi legato.

Odkładam album i wraca pamięć.
I tamto lato. Czas jak prawidło.
Za oknem czarnym bieli się zamieć.

Łąki z betonu

Na naszych łąkach rosną domy.
Na naszych łąkach samochody.
Na naszych łąkach kurz znajomy
i milion kroków. Każdej doby.

Łąki z betonu
Puste przestrzenie.
Łąki z betonu
Na zapomnienie.

Na naszych łąkach rosną dzieci.
Na naszych łąkach ktoś umiera.
Na naszych łąkach góry śmieci,
odpady z życia. Tu i teraz.

Łąki z betonu
Puste przestrzenie.
Łąki z betonu
Na zapomnienie.

Na naszych łąkach beton pęka.
Na naszych łąkach trawa wschodzi.
Na naszych łąkach, pośród spękań,
ziemia wyziera. Wnet obrodzi.

Asfaltowe łąki

Chodzę, rozglądam się dokoła.
Szukam najmniejszych ludzkich śladów.
Zmęczenie drogą ścieram z czoła.
Znów nie znalazłem tamtych sadów.

Łąki z asfaltu, po horyzont.
Gdziekolwiek swą odwracam głowę.
Pustka bezdźwięczną brzmi reprzyą.
W kałużach krople deszczu łowię.

W wodzie odbijam się jak w lustrze.
Chmury granatem wskroś zasnute.
Latarnia kłania się swej siostrze
i topi w wodzie świetlny smutek.

Na asfaltowych łąkach płynę.
Żagiel naciągam na latarnię.
Przepadnę całkiem, w czerni zginę.
Nie czekaj w porcie. Skończę marnie.

Wypalanie traw

Przerzucamy się wspomnieniami
Raz po raz sięgamy za siebie.
Nieodkryte tak nas nie wabi
jak to znikłe, jak to ubiegłe.

Spoglądamy, na ten za nami,
szmaragdowych łąk naszych przestwór,
co jak miraż pustynny mamy.
Drga i pełga w tamtym powietrzu.

Nagle dym nas owiewa siwy.
Łzy wyciska i dławi w piersi.
Obraz, zdaje się nieprawdziwy.
Płoną trawy. Ogień je pieści.

Płoną łąki, te wymarzone.
Płoną łąki z dziecięcych zabaw.
Łąki moje, łąki zmęczone,
Wiosną inna wzrośnie wam trawa.

Siewcy

Zasiał wiatr na mej łące trawę.
Nie wzeszła.
Zasiał deszcz na mej łące mgłę.
Opadła.
Zasiał mróz na mej łące szron.
Stopił się.
Zasiał Pan na mej łące nadzieję.
Czekam...

Łąki Pańskie



Zdjęcie ilustracyjne na poprzedniej stronie: Bez tytułu

autor zdjęcia: Lohrelei, 4 sierpnia 2017, pobrano z <https://pixabay.com/>

Łąka kwietna

Ty mnie na łąki swe poprowadź
Ty mnie na łąki zabierz swoje
Na taką drogę mnie wyprowadź,
co wiedzie wprost na łąki Twoje.

Majowe łąki drzemią.
Majowe łąki cichną.
A głos Twój ponad ziemią
i inne głosy milkną.

Ty mnie na łąki swe poprowadź
Ty mnie na łąki zabierz swoje
Na taką drogę mnie wyprowadź,
co wiedzie wprost na łąki Twoje.

Majowe łąki szemrzą.
Majowe łąki grają.
Te dźwięki ciągle ze mną
wiąż nowe słowa dają.

Ty mnie na łąki swe poprowadź
Ty mnie na łąki zabierz swoje
Na taką drogę mnie wyprowadź,
co wiedzie wprost na łąki Twoje.

Łąka nadobna

Na krańcu świata,
gdzie czas się splata
z naszymi marzeniami.
Na Ciebie czekam,
a czas jak rzeka
zapłata los i mam.

Łąko nadobna!
Zielenią zdobna!
Czemu tak kwieciami mamisz?
Mienisz się złotem,
jaskrów pokotem,
co upadł za żeńcami.

Na krańcu świata,
gdzie czas się splata
z naszymi marzeniami.
Na Ciebie czekam,
a czas jak rzeka
zapłata los i mam.

A mnie się marzy,
że znów się zdarzy,
na trawie jak aksamit.
Że będziesz czekać
i w noc, jak w przepaść,
spadniemy całkiem sami.

Na krańcu świata,
gdzie czas się splata
z naszymi marzeniami.
Na Ciebie czekam,
a czas jak rzeka
zapłata los i mam.

Łąka na skłonie

Drogą pod górę, choć bywa ciężko,
choć pot ci zrasza zmęczone skronie,
ty, niezrażony kolejną klęską,
idziesz wytrwale. Podążasz do niej.

Już stok się kładzie, w łąkę zamienia.
Droga się w ścieżkę zwęża wyraźnie.
Już kres jej widzisz. Wieczór w czerwieniach
schodzi w doliny. Słońce już gaśnie.

Doszedłeś kresu. Na łące stoisz.
W zachwycie patrzysz wzrokiem dokoła
i wciągasz zapach. Już się nie boisz.
Głos rozpoznajesz. Głos, który woła.

Siadasz na trawie, podziwiasz kwiaty,
ostrożnym ruchem bierzesz je w dłonie.
I chłoniesz wzrokiem biele, granaty,
na szmaragdowej łące na skłonie.

Łąki zapisanie

Zebrałem na łące siana suchego jak pieprz.
Będzie na zaś, gdy pamięć zblednie.
Nawdychałem się ostrego zapachu tego, co świeżo skoszone.
Będzie na dziś, dopóki nie uleci w chmury.
Napatrzyłem się w niebo, co deszcz obiecuje.
Będzie na jutro, pojutrze i na kiedykolwiek, na życie nowe.

Stoję na skraju łąki i zapisuję sobie wszystko na potem.
Będzie jak nadzieja na wieczność. Na tej innej łące.

Szmaragdowe trawy

Szmaragdowe trawy nam szumią.
Szmaragdowe trawy kłaniają.
W szmaragdowych trawach się gubią
myśli nasze, z czasem igrając.

Umieramy, mój Panie, umieramy.
Cóż z tego, że kusi
szmaragd tej trawy na naszej łące.
Umieramy, mój Panie, umieramy.
Daremny nasz usił,
chęć by zatrzymać to, co gasnące.

Szmaragdowe trawy nam szumią
Szmaragdowe trawy kłaniają.
W szmaragdowych trawach się gubią
myśli nasze, z czasem igrając.

Odchodzimy, mój Panie, odchodzimy.
Cóż z tego, że woła
widok tej drogi, co biegnie zboczem.
Odchodzimy, mój Panie, odchodzimy.
Żaden z nas nie zdoła
pozostać tutaj. Czas kamień toczy.

Szmaragdowe trawy nam szumią
Szmaragdowe trawy kłaniają.
W szmaragdowych trawach się gubią
myśli nasze, z czasem igrając.

Trawy nieprzebyte

Przedzieram się przez trawy,
trawy po kolana.
Brnę dalej w poprzek łąki
w trawie po pas brodę.
Rosą, co od rana,
dłonie swoje chłodzę.

Kłaniają mi się trawy,
trawy nieprzebyte.
Wołają do mnie łąki,
ich trawy nieznane.
Ścieżki, w krąg zawite,
w trawie snią schowane.

Przyjdzie zżąć tę trawę,
trawę mego życia.
Przyjdzie ją wysuszyć
na siano pachnące.
Już nic do odkrycia
na tej życia łące.

Raniąc stopy

Raniąc swe stopy,
jednak idę.
To nic, że boli.
To nic, że krwawię.
Idę powoli.
Jestem już. Prawie.
Raniąc swe stopy,
jednak idę.

Trawa tak szorstka,
po kolana.
Tnie niczym nożem.
Tnie bezlitośnie.
Mój dobry Boże.
Płaczę bezgłośnie.
Trawa tak szorstka,
po kolana.

Dokąd mnie łąką prowadzisz?

Skraj łąki

Przysiadłem na skraju łąki.
Chleb czarny biorę do ręki.
Słucham podniebnej piosenki
Czy dla mnie Twoje skowronki?

Przysiadłem popod leszczyną.
Zbożowej kawy łyk wziąłem.
Trzeba mi będzie z mozołem
zmierzyć się z łąki dziedziną.

Przysiadłem na brzegu rzeki.
Ocieram spocone czoło.
Siedzę i patrzę się wkoło
Ciężkie spadają powieki.

We śnie znów jestem na łące.
Na skraju stoi ktoś obok.
Stopy zakrywa mu obłok.
Już pora. Zachodzi słońce.

Łąki zbielale

Trawy spalone, zbielale,
wołają o kwartę deszczu.
Lecz stoją, Panu na chwałę.
Jedynie żal swój szeleszczą.

Za wodą, za deszczem, rosą.
Za rześkim porannym wiatrem.
Za tym, byś stopą swą bosą
trącił je, choćby przypadkiem.

By dały tobie ochłody
nim zima zetnie ich bezkres.
Byś z wiatrem idąc w zawody
po łące biegał, gdy zechcesz.

A dzisiaj? Trawy spalone.
Kruszeją pod byle tchnieniem.
Nie patrzy Pan w tamtą stronę.
Nie darzy dobrym spojrzeniem.

Kości twe, porzucone,
wołają o łzę, choć jedną.
Na dzień, gdy powstaną całe,
gdzieś w trawie, na łące, bledną.

Łąki wysokie

Zabierz mnie mój Panie, na wysokie łąki.
Na malachitowe bezkresne przestrzenie.
Gdzie płyną strumienie i wszystkie skowronki
w zgodnym chórze toczą swe podniebne pienie.

Gdzie trawa jest zawsze bujna i soczysta.
W której się przechadza bocian, ten znad Narwi.
W której Ner się wije, a woda w nim czysta.
Źródło wody żywej. Tutaj mnie przygarnij.

A kiedy już tam będę, daj do ręki kosę.
Będę twym parobkiem, by żąć łąki Twoje.
Tylko daj nadzieję, że się znów podniosę,
że się znów odrodzę. Ja i łąki moje.

Łąka o wschodzie

Wstałem przed świtem.
Już czas mi w drogę.
Łąka już czeka, niecierpliwa.
Ktoś żegna słowem:
„Idźże z Bogiem!”
I ręka z chlebem, polegliwa.

Łąka o wschodzie.
Ten cud natury.
Mgłą się unosi delikatnie.
I dzień, jak co dzień.
I raz, i wtóry
pokos się kładzie równo z wiatrem.

Łąko najdroższa!
Jak długo możesz,
trawą się unosić każdej wiosny.
Przyjdę o wschodzie,
do snu ułożę,
utulę cię pokosem prostym.

Łąka na końcu świata

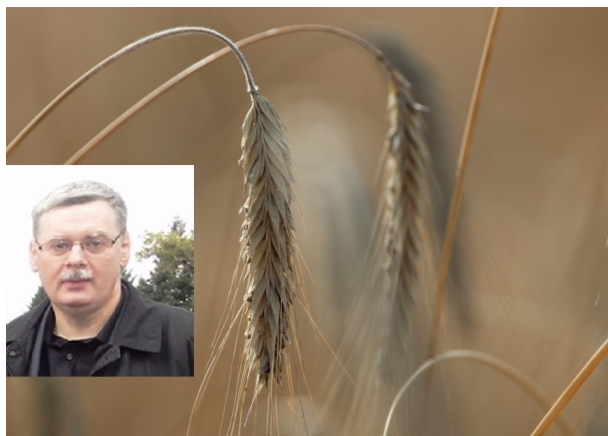
Nie dowiesz się z mediów.
Nie przyjdzie esemes.
Nikt nie zadzwoni do Ciebie.
Nie będzie też siedmiu
wysłańców per pedes
i konno nikt nie przyjedzie.

Bóg też ci nie powie,
że byle przechodzień,
czasu zagina krawędzie.
Zwyczajnie, jak co dzień,
dzień toczył się będzie
i Ziemia w bezkresnym pędzie.

Poeci napiszą
kolejne swe wiersze
o świecie, co ich zachwyca.
Czas stanie się ciszą.
Nie będzie nic więcej.
Nikt wierszy tych nie przeczyta.

Nie będzie też łąki
na końcu tej drogi,
co wiodła ku krańcom twoim.
I żalu rozłąki
za łąką, gdzie stogi.
Zapachem siana, co koi.

O autorze:



Wojciech Majkowski (ur.12 maja 1960 r. w Łodzi, mieszkający w Bydgoszczy), publikujący również pod pseudonimem Milton Ha, poeta, prozaik, felietonista, blogger. Autor uprawiający sztukę poezji i prozy od końca lat siedemdziesiątych, zadebiutował drukiem w 2017 roku. Laureat kilku nagród w konkursach literackich zarówno w dziedzinie poezji jak i prozy.

Autor m.in.:

Książek poetyckich opublikowanych jako pliki PDF (do pobrania ze strony internetowej autora):

Z roku 2015: **Ulica Rzgowska, Sanctuarium,**

Z roku 2016: **Pory roku** (2016), z którego wiersz zatytułowany Las, zdobył pierwszą nagrodę na konkursie poezji Bryllowisko'2012,

Z roku 2017: **Rozterki poety, Okruchy historii, Liryki młodzieńcze, Liryki najważniejsze, Miejsca i ludzie,** z którego wiersz zatytułowany Dwa dni w skałkach, zdobył, w 1987 roku, pierwszą nagrodę na „Konkursie poezji o górach i wspinaniu” organizowanym przez AKG Łódź,

Z roku 2018: **Liryki najważniejsze II, Miejsca i ludzie II** (w przygotowaniu do wydania), z którego wiersz zatytułowany „Na drodze z Wetliny” otrzymał drugą nagrodę w Turnieju Jednego Wiersza im. Ryszarda Szocińskiego, który odbywał się na I Ogólnopolskim Festiwalu Piosenki Studenckiej i Turystycznej Trombita w Wetlinie.

Pozycje oficjalne wydawnictwa Milтона Ha:

Wydane wyłącznie jako PDF (do pobrania ze strony internetowej autora):

Rozterki poety II (2017, ISBN: 978-83-949107-2-3),

Igraszki z językiem (2017, ISBN: 978-83-949107-1-6),

Kapliczki polskie (2017, ISBN: 978-83-949107-4-7), z którego cykl w postaci pięciu wierszy, zdobył nagrodę wyróżnienia w kategorii „Debiut” na 38 Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. Haliny Poświatowskiej.

Tatrzańskie obrazy (2018, ISBN: 978-83-949107-7-8)

Sanctuarium II (2018, ISBN: 978-83-949107-3-0)

Stół Mądrości albo Siedem grzechów głównych (2018, ISBN: 978-83-949107-6-1)

Łodzianie (poemat wierszem) (2018, 978-83-949107-5-4)

Wydane drukiem książki poetyckie:

Wiersze wybrane (2017, ISBN: 978-83-949107-0-9), nakład 200 egz., Wydawnictwo Milтона Ha.

Spośród ponad 1000 napisanych utworów, kilkanaście wierszy posłużyło jako słowa piosenek i funkcjonuje w przestrzeni publicznej jak utwory z nurtu poezji śpiewanej.

Współautor następujących pozycji z serii wydawniczej BOSKI CHÓR:

BOSKI CHÓR VIII, KSIĘGA Narzeczy Boski Dramat. DZIEŁO ZBIOROWE Autorów Symfonii Poetów, Pisarzy i Artystów pod patronatem Międzynarodowego Stowarzyszenia Artystów, Autorów, Dziennikarzy, Prawników VIRTUALIA ART, 2018 r., ISBN-13: 978-1726418003, ISBN-10: 1726418006, wydane i wydrukowane w USA.

BOSKI CHÓR IX, KSIĘGA OBŁOKÓW Boski Dramat. DZIEŁO ZBIOROWE Autorów Symfonii Poetów, Pisarzy i Artystów pod patronatem Międzynarodowego Stowarzyszenia Artystów, Autorów, Dziennikarzy, Prawników VIRTUALIA ART., 2018 r., ISBN-13: 978-1727565027, ISBN-10: 1727565029, wydane i wydrukowane w USA.

BOSKI CHÓR X, KSIĘGA RAJ ODZYSKANY Boska Drama Na Głosy. DZIEŁO ZBIOROWE Autorów Symfonii Poetów, Pisarzy i Artystów pod patronatem Międzynarodowego Stowarzyszenia Artystów, Autorów, Dziennikarzy, Prawników VIRTUALIA ART., 2018 r., ISBN -13: 978-1729596678, ISBN -10: 1729596673, wydane i wydrukowane w USA.

Współautor następujących antologii literackich:

Peron Literacki, Antologia, „dla Kasi”. Dzieło zbiorowe, Wydawnictwo KryWaj, © by KryWaj, Koszalin, 2018 r., ISBN 978-83-65651-70-9

Almanach wierszy krakowskich. Dzieło zbiorowe, Wydawnictwo ARMAGRAF, © by Autorzy, Krosno, 2018 r., ISBN 978-83-65021-19-8

Autor powieści i opowiadań:

Desperat (2015), z której skrót w postaci opowiadania, zdobył, w 2009 roku, pierwszą nagrodę w konkursie na wspomnienia organizowanym przez Gazetę Wyborczą (wydanie lokalne: Bydgoszcz), a zatytułowanym „Moje 20 lat”

SALIGIA (2017), dwutomowej powieści społeczno-historycznej, nawiązującej do tematyki religijnej, idei Camino de Santiago, postaci Filipa II Hiszpańskiego oraz Hieronima Boscha i jego dzieł. Jak dotąd ukazał się pierwszy tom powieści. Nad drugim autor właśnie pracuje.

Autor opowiadań i miniopowiadań:

Katedra tatrzańskich duchów (2015), **Rower** (2017), **Którędy do Emaus** (2018), **Ganek Zofii** (2018)

Autor kilkuset felietonów społeczno-politycznych i literackich zamieszczanych nieregularnie, począwszy od 2010 roku do dzisiaj, na forum Salonu 24.

<https://www.salon24.pl/u/y2013/>.

Autor odsyła wszystkich zainteresowanych jego twórczością do wydań swoich utworów umieszczonych w sieci na stronach, jak niżej:

<https://wojciechmajkowski.wordpress.com/>

<https://www.facebook.com/czytelniawierszy/>



Kolejna książka poetycka autora, Wojciecha Majkowskiego. W czterech zasadniczych częściach zawierająca zarówno nostalgiczne opisanie obrazu polskiej wsi, tej zagubionej w lasach na Mazowszu jak i tej przyległej do wielkiego miasta w środku Polski. Codziennosc, sprawy male i wielkie, praca i modlitwa, zycie i smierc, zaduma nad poplatnym losem czlowieka, a wszystko na tle pieknej natury nadnarwiańskich łąk i lęgów środkowego biegu Narwi oraz równinnych łąk nad Nerem. Całość zamknięta klamrą rozważań o świecie pozazmysłowym, niedostrzegalnym na co dzień, z odniesieniem do inspiracji twórczych powodujących autorem, a czasami będących jego utrapieniem i rozterką twórczą.

Notka biograficzna autora znajduje się w końcu książki.

ISBN: 978-83-949107-8-5